Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 50 (1838) • 12–18 grudnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Rydzyk kocha na zabój?

str. 14

KRYPTOPREZES

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl b688b282cd

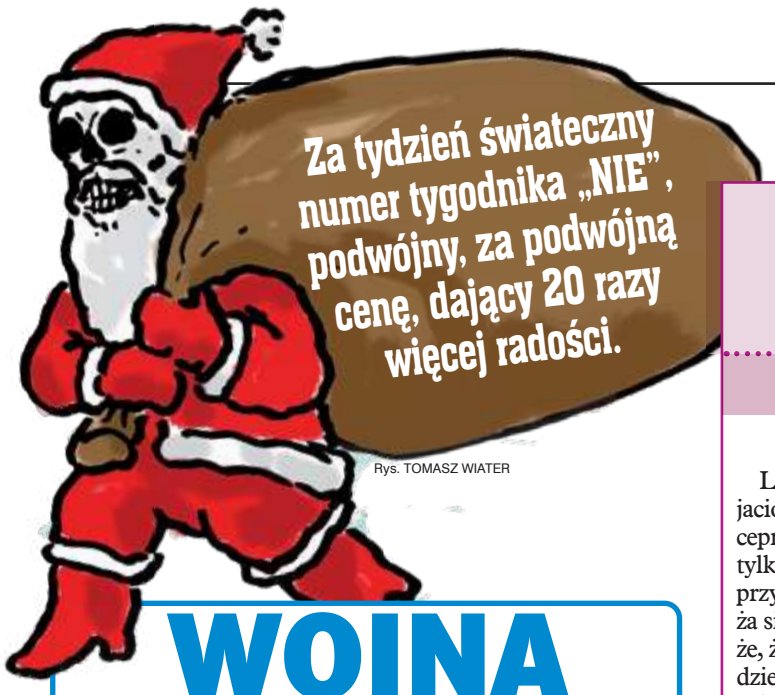

Rys. TOMASZ WIATER

WOJNA DOMOWA

Walka o kryptowaluty trwa. Sejm – niespodzianka – nie zdołał odrzucić weta prezydenta. Minister Bogucki, uzasadniający weto w sejmie, zadeklarował w imieniu Nawrockiego gotowość wspólnej pracy z rządem nad nowym kształtem ustawy. Rząd nie wydaje się być zainteresowany, zważywszy, że wystosował projekt nowej ustawy, która ma to do siebie, że – tu cytat z rzecznika rządu – „nawet przecinkiem” nie różni się od starej. Premier zaapelował do prezydenta, żeby „już nie przeszkadzał” – co nie wydaje się najskuteczniejszą techniką negocjacji na rzecz przyjęcia ustawy, na której rządowi ponoć bardzo zależy. Tak przynajmniej oceniono to w PiS. Nas szczególnie wzruszył poseł Zbigniew Kuźmiuk, który skomentował spór na portalu wPolityce.pl: „A więc na wyraźnie wyciągniętą do współpracy rękę prezydenta Nawrockiego reprezentowanego w tym przypadku przez ministra Boguckiego, premier Tusk wyciąga rękę, niestety z zaciśniętą pięścią”… Zaraz, zaraz, gdzie my to już słyszeliśmy? Czy aby nie 13 grudnia? „Jak długo ręka wyciągnięta do zgody ma się spotykać z zaciśniętą pięścią”… A nie mówiliśmy, że Generał wiecznie żywy?

Grzegorz Braun stanął przed sądem, m.in. za zgaszenie świecznika chanukowego w sejmie oraz obłapianie prof. Łukasza Szumowskiego pod pretekstem „zatrzymania obywatelskiego”. Na korytarzu sądu europoseł Braun z gronem wyznawców zaintonował pieśń „Maryjo, królowo Polski” – co w zasadzie w pełni uzasadniałoby spryskanie ich gaśnicą pianową bądź jakiś inny środek przymusu bezpośredniego – po czym poinformował skład orzekający, że „jest oskarżony przez Żydów, którzy są Żydami zawodowymi”. Zważywszy, że Grzegorz Braun jest zawodowym katolikiem, wybór oskarżycieli wydaje się nader stosowny. Nawiasem mówiąc, ciekawy komentarz do postępowania europosła Brauna wygłosił marszałek Czarzasty: „To, co prezentuje Braun, jego poglądy, jego nienawiść w stosunku do ludzi, do Żydów”… Tu marszałek zawahał się chwilę i dodał: „Żydzi są ludźmi”.

Zamieszanie wokół Brauna nasilił poseł Sasin, który – zapytany przez red. Piaseckiego – wyznał, że „trudno mu sobie wyobrazić” koalicję z Braunem, ale koalicji z Tuskiem nie wyobraża sobie na pewno. „Woli pan Grzegorza Brauna niż Donalda Tuska?” – zapytał podchwytliwie redaktor. „Oczywiście, że wolę” – odarł chwacko poseł, ale potem zaczął mięknąć: „Grzegorz Braun opowiada różne głupoty, rzeczywiście, natomiast nie mam takiego przekonania, że gdyby trzeba było mówić o sprawach poważnych, a nie walczyć tylko o swoje miejsce na scenie politycznej, to nie dałoby się, być może, jakiejś poważnej rozmowy przeprowadzić”… I na koniec dodał już całkiem niepewnie: „Nie wiem, nie wykluczam tego, ale być może jest odwrotnie”. Problem posła Sasina wynika z tego, że prezes najwyraźniej jeszcze nie zdecydował, czy brzydzi się Braunem, czy nie. Co można było wywnioskować z dość chaotycznego wywodu Kaczyńskiego na konferencji prasowej: „Nasza ambicja jest bardzo prosta: chcemy należeć do zamożnych, a z czasem najzamożniejszych państw Europy. Jest tu oczywiście jeszcze jeden ogromny problem. To jest problem demograficzny. Tu akurat partia Brauna i jej przedstawiciele w parlamencie bardzo często to podkreślają i to jest racja”… Słowem: można bić Żydów, jeśli równocześnie robi się dużo Polaków.

Szymon Hołownia ogłosił, że definitywnie nie będzie kandydował na szefa własnej partii. Jeszcze we wtorek słychać było pogłoski, że może jednak rozważyć zmianę decyzji – w razie, gdyby nie udało mu się załapać na fuchę w ONZ. To, że mu się nie uda – odnotujemy nieskromnie – przewidzieliśmy już, kiedy ambicję taką zgłosił. Albowiem polityk, który głosował za nielegalnym w świetle prawa międzynarodowego zawieszeniem prawa do azylu, a także za ustawową bezkarnością żołnierzy i funkcjonariuszy, którzy „niezgodnie z zasadami” strzelają do uchodźców – niekoniecznie nadawał się na funkcję wysokiego komisarza ds. uchodźców. Wtedy jednak, na bazie patriotycznego uniesienia, obowiązywała opinia, że szanse są wielkie, bo wszyscy wszak na świecie liczą się z Polską.

À propos: Donald Trump ogłosił nową strategię bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Stanowi ona, że Europa jest do dupy, bo kolorowi wypierają białych, więc Ameryka nie będzie nas bronić przed niczym, a już na pewno nie przed Ruskimi. Sposób na rozwiązanie problemu podpowiada głowie państwa wicepremier Gawkowski: „Karol Nawrocki powinien wykonać telefon do Waszyngtonu i powiedzieć: co wy tam, prezydencie Trump, robicie”. Znacznie miększym tonem z Amerykanami proponuje rozmawiać niezastąpiony red. Kraśko, który odwiedził ambasadora USA w Polsce Toma Rose'a i zadał mu pytanie następujące: „Zna pan prezydenta Trumpa. Czasami, gdy politycy deklarują miłość do innych narodów, to zbyt poważnie bym tego nie traktował, bo zwykle wynika to z uprzejmości. Ale gdy pan prezydent Trump kogoś nie lubi, bardzo wyraźnie to formułuje, zatem, kiedy mówi, że Ameryka kocha Polskę, Ameryka kocha Polaków – to coś zapewne oznacza? Czy rozmawiał pan z prezydentem Trumpem na temat jego emocji wobec Polski?”… Normalnie tego typu dialogi słyszymy na przerwach w szkole podstawowej: „Tom, rozmawiałeś z Donaldem? Mówił coś o mnie? Lubi mnie trochę?”…

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Grudzień 2013 r.

Świętego Adwenta

Leszek Miller rozpowiada przyjaciołom, że wcale nie chce być wicepremierem przy Tusku-bis-bis, tylko marszałkiem sejmu. Jego przyszła laska marszałkowska zbliża się do matury. Miller mówi także, że w żadnym wypadku nie wejdzie po wyborach w koalicję z PiS. Widocznie bierze to pod uwagę.

Cd. świętego Adwenta

Janusz Palikot stał się mądrym, rzeczowym mężem stanu. Proszę to zauważyć. Zmienił w tym celu strój na żałobny i tuszę na polityczną. Palikot nadzieją Polski i całego subkontynentu. Ale mam też sprawę do obecnej władzy. Proszę o ukaranie mnie za bluźnienie Bogu zakazem stadionowym oraz odebraniem praw obywatelskich i honorowych. Co do innych spraw, to niegdyś odesłałem Lechowi Kaczyńskiemu, prezydentowi święta pamięć, moje ordery, których mam szufladę. Jego świętej pamięci szef kancelarii nazwiskiem Skrzypczak czy Skrzypak odesłał mi je z pismem, że prezydent nie przyjmuje. Order to przymus państwowy. Komandorią Polonii Restituty udekorowałem Azora. Czy Komorowski przyjmie zwrot reszty orderów, które dostałem za Jaruzelskiego za zwalczanie takich jak on? Oto jest pytanie.

Świętej Viviany

Widzieliście kiedyś nagiego rabina? Bo ja nagą dziewczynę tak.

Świętego Franciszka Xaviera

Popieram pogląd prawomyślnego Ryszarda Kalisza. Tzw. bestii nie wolno zamykać po odsiedzeniu przez nie wyroku ani nawet tytułować bestiami. Opuszczający więzienie seryjni gwałciciele i mordercy powinni natomiast podpisywać lojalkę, że już nie są w stanie sprostać swojemu powołaniu. Zresztą wszystko jest względne. Moja córeczka, jeśli zacznie uwodzić ją pedofil, może się poczuć pochlebiona. Cóż, ma 55 latek…

Świętej Barbary

Czym się różni szef „Faktów” TVN red. Kamil Durczok od kobiety? Kobieta najwyżej raz lub dwa w życiu chce mieć dziecko. Red. Durczok – co wieczór. Kobieta lubi, jak jej dziecko jest zdrowe. Redaktor „Faktów” kocha utopione, zawekowane, upieczone, z rakiem albo bez mózgu oraz nóżek.

Świętego Gerarda

Jestem zawodowym prowokatorem, czyli według prof. Stefana Chwina szkodnikiem („Gazeta Wyborcza” z 30 listopada–1 grudnia). Moderatorzy społecznych procesów myślowych powinni zdaniem profesora przyciągać do nowinek, kusić, a nie odpychać tradycjonalną większość. Odstręczają zaś przez parady homo, pokazywanie moherom środkowego palca, wyśmiewanie honoru i ojczyzny. Szokujący pogląd. Skandale są przecież jednym z motorów napędowych zbiorowej świadomości. Dzięki działaniu feministek, ujawnieniu się i domaganiu równego traktowania przez nomen omen homo, zdzieraniu z kleru otuliny, przesadnemu reagowaniu na antysemityzm i szowinizm, śpieszniej ewoluują: sposób myślenia, kultura, wyobrażenie, normy współżycia, a w ślad za tym technologia i nauka.

Świętego Mikołaja

Chyba umiem problem Ukrainy wyjaśnić najkrócej. Rosji bardziej zależy na związaniu z nią Ukrainy niż Unii Europejskiej. Rosja wiązała ze sobą m.in. Polskę, dopóki było ją na to stać. I uwodzi Kijów skuteczniej niż UE, odkąd ją na to stać. Tym łatwiej, że Putin do Janukowycza mówi cyrylicą.

Świętego Ambrożego

Wielu rzeczy nie rozumiem. Dlaczego wysokość, a raczej niskość przyszłych emerytur ma zależeć od małej liczby pracujących, a nie od ogólnej wydajności pracy i dochodu narodowego zależnych przecież od cyfryzacji, automatyzacji, robotyzacji? Czemu bezrobocie jest problemem długofalowym, skoro niebawem na rynek pracy wejdzie niż demograficzny? Z jakich powodów nie można było ustalić w przedsiębiorstwach planu elastycznego czasu pracy w skali roku pozwalającego pracownikom planować życie? Co uzyskują studenci menedżerstwa i ekonomii, skoro skazani są na bezrobocie przy braku fachowców tego rodzaju? Jakim cudem prywatnie ubezpieczeni w drogich systemach leczniczych mają zyskać łatwy dostęp do lekarzy specjalistów, jeszcze bardziej nie wydłużając kolejek w społecznej służbie zdrowia? Dlaczego Palikot chce odebrać emerytury „wysłużone” na rzecz równych emerytur obywatelskich, zamiast te drugie przyznać po prostu tym starcom, którzy nie mają innego zaopatrzenia? Czy związki zawodowe obliczają, jakim kosztem czyich płac mają być opłacani pracownicy branż plajtujących lub nadpłacanych? Dlaczego nie tworzy się ekonomicznych mechanizmów podwyżki płac, które przyniosłyby opłacalność nowoczesnej techniki i rozwój popytu rynkowego? Czemu narodowcy są wrodzy imigracji pracowników do Polski, skoro wtedy inne państwa płacą za hodowanie dzieci, kształcenie i leczenie młodzieży – przyszłych Polaków. Czy skośny albo śniady, prawosławny czy czarny Polak będzie gorszym patriotą ode mnie? To przecież niemożliwe. Co za idioci zachęcają do wielodzietności dziedzicznych pensjonariuszy pomocy społecznej? Jakiego udziału w modernizacji można się spodziewać po potomstwie zidiociałej kury domowej? Dlaczego księża, lubiąc pieniądze, chcą opierać się w skali społecznej na niewykształconej biedocie? Czy dziecko lepiej wychowa ciemna idiotka niż dwóch wykształconych samców? Dlaczego najlepszymi podwładnymi w kapitalizmie są psy? Bo to jedyne stworzenia kochające chlebodawców?…

Wciąż św. Mikołaja

Mały syn mojej pasierbicy, który geny ma po Daniszewskiej, umówił się, że w zamian za wynegocjowaną kwotę wykona dla mnie pewną pracę artystyczną. Jego matka, choć wychowanka kapitalizmu, oznajmiła, że zasada równości wymaga odpalenia czegoś także jego siostrzyczce. Ja więc, postępując jak Tusk, wymyśliłem jej fikcyjne zajęcie. Ona nawet nie udawała, że je wykonuje. Wobec tego kierując się regułą europejskiego kapitalizmu, dałem panience 20 proc. zapłaty dla jej brata. Pamiętałem też regułę Lenina: kto nie pracuje, ten nie je pizzy. Matka dzieci szybko dopłaciła córeczce brakujące 80 proc. płacy syna w imię równości w łaknieniu pizzy. Pytanie brzmi: jak ma się porozumiewać komisja trójstronna związki zawodowe–pracodawcy–rząd?

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Dorota Masłowska** oskarżyła Helenę Englert o kradzież kanapki z hajsem. I tak dwie damy pożarły się o smalec.
- **Chińscy naukowcy** stwierdzili, że tai chi może leczyć przewlekłą bezsenność. Tym samym tai chi wygrało konkurs na najnudniejszy sport na świecie.
- **Francja** wprowadziła najostrzejsze zasady dotyczące zachowania pasażerów samolotów. Brigitte Macron z automatu powinna trafić na czarną listę.
- **Karol Nawrocki** domaga się dowodu wdzięczności od Zełenskiego. Wiadomo, jak kocha, to połyka.
- Z okazji Barbórki **Kaczyński** powiedział, że sztuczna inteligencja wymaga ogromnej ilości energii. Musi to być energia z węgla, bo ta z wiatru jest za słaba.
- W sejmie otwarto wystawę prac **Marka Suskiego.** Suski to drugi po Nikiforze wybitny prymitywista.
- TV Republika wystartowała z ze stroną **Goryla.pl.** Nazwa ma uhonorować Danutę Holecką.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Pani Agnieszko,

nie musi Pani lubić Marszałka Czarzastego, nie pamięta Pani tamtych czasów, chyba była zbyt młoda, ale ja pamiętam, jak się wtedy żyło w porównaniu do dzisiejszych czasów. Nie było problemów z pracą, ze służbą zdrowia, sądownictwem, zdobyciem mieszkania, wychowaniem dzieci, szkolnictwem, przedszkolami czy żłobkami. W zakładach pracy były ośrodki wczasowe, dzieci miały kolonie, obozy harcerskie, w zakładach pracy były jadłodajnie. A dzisiaj dobrze się żyje pracodawcom, którzy zatrudniają na samozatrudnienie i mają miliony.

O resztę niech Pani spyta ludzi w moim wieku, około 80-latków. Marszałka Czarzastego wybrała większość sejmowa. Jak Pani popiera Kaczyńskich, Czarnków i innych pisiorów, to Pani sprawa, ale brzydko krytykować na forum społecznym w gazecie. Kupuję i czytam „NIE” od początku jej wydawania, ale jeżeli w artykule nie przeprosi Pani Marszałka Czarzastego i ludzi, którzy pamiętają tamte czasy, przestanę kupować i czytać.

z poważaniem
FEZOJ Z WIELKOPOLSKI

PS Pani Agnieszko, co się z Panią stało, poważałem Panią od początku działalności w „NIE”, szkoda.

Szanowny Czytelniku!

Moja pretensja do marszałka Czarzastego dotyczy właśnie faktu, iż umył ręce od tego, co nazywa Pan „tamtymi czasami” – i zamiast bronić Polski Ludowej przed kolejnym seansem nienawiści, który urządzili przy okazji jego wyboru posłowie PiS, usiłował przekonywać, że w ogóle nic go z tymi czasami nie łączy, bo przyjaźnił się z Kaczmarskim. Ten unik – zamiast wyraźnego opowiedzenia się po stronie ludzi PRL, a zwłaszcza pamięci o generale Jaruzelskim – uważam za haniebny. Dlatego napisałam: „Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem uznawanym przez cały świat, podniosła kraj z powojennych ruin, zlikwidowała analfabetyzm, bezrobocie, bezdomność, przeprowadziła industrializację i awans społeczny na nieprawdopodobną skalę”.

Podejrzewam, że Pańskie oburzenie w imieniu „ludzi, którzy pamiętają tamte czasy” wynika z nieporozumienia – które jest oczywiście moją winą. Jak mówił mój mistrz w zawodzie: autor powinien się męczyć tak długo, żeby Czytelnik się męczyć nie musiał. Jeżeli zatem poczuł się Pan urażony, najserdeczniej przepraszam.

Z poważaniem
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl b688b282cd

To nie jest sojusz. To rozwód.

Strategia Trumpa na świat

Rys. Maurizio Di Bona

Myślę, że to dobrze, iż Amerykanie postanowili zrzucić mundur „światowego żandarma" – czy też raczej globalnego bandyty, jak myślała o nich większość świata niezachodniego – ale wraz z tą deklaracją staje się wreszcie jasne, że demokrację też mają w dupie.

Donald Trump opublikował 4 grudnia dokument „Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA" (NSS), który przedstawia zasady i priorytety polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Biały Dom określił go jako „mapę drogową zapewniającą, że Ameryka pozostanie największym i najbardziej odnoszącym sukcesy narodem w historii ludzkości oraz domem wolności na Ziemi"… Strach się bać!

„2025 U.S. National Security Strategy" nie jest nudnym wywodem urzędników z Pentagonu. To manifest radykalnego, nacjonalistycznego przewrotu w amerykańskiej polityce. To akt oskarżenia przeciwko wspólnym – podobno – wartościom, przeciwko Europie, Unii Europejskiej i wszystkiemu temu, co w naszej naiwności uważaliśmy za fundament Zachodu. Nie mamy do czynienia z prowokacją. To jest oficjalne wypowiedzenie sojuszu. To rozwód.

Nie znajdziemy tam języka dyplomacji, lecz język wojny kulturowej i transakcyjnego cynizmu. Mocarstwo nuklearne, w którym przez dekady chcieliśmy widzieć gwaranta naszego bezpieczeństwa, ogłasza światu, że będzie traktować swoich najstarszych sojuszników jak kolonie: bezwzględnie doić, mieszać się w ich wewnętrzne sprawy i kwestionować ich prawo do suwerenności. A co gorsza, znajduje u tych sojuszników – także w Polsce – polityków gotowych przyklaskiwać tej zdradzie.

Zdrowi i biali

Sercem nowej doktryny jest zwrot nie tyle antychiński czy antyrosyjski, co antyeuropejski. Kluczowe założenie jest jasne: Europa jest dla Waszyngtonu ciężarem, a nie partnerem. Sojusze mają być wyłącznie „transakcyjne". Hasło „zobowiązanie haskie" – 5 proc. PKB na obronę – nie służy wzmocnieniu NATO, lecz jego przekształceniu w mechanizm mafijnego haraczu. Większość tej kwoty macie, europejskie leszcze, wydać na broń, którą wam po paserskich cenach sprzedamy. Płacicie albo nie ma gwarancji. To język protektoratu, nie paktu obronnego.

Pozwólcie, że zapytam: kto z was jeszcze wierzy w realizację piątego artykułu NATO? Ręka do góry!

Ale to nie wszystko. Dokument wprowadza przerażający „test kulturowy". Amerykańska populistyczna prawica, która rządzi dziś Białym Domem, otwarcie kwestionuje naszą europejską tożsamość. Nasze społeczeństwa – z ich różnorodnością, dążeniem do równości, troską o klimat – uznaje za zdeprawowane, słabe i godne politowania. W ich oczach „zdrowa duchowo" Ameryka nie może polegać na „zepsutej" Europie. To nie jest różnica taktyki. To fundamentalna, ideologiczna wrogość. Jak możemy ufać sojusznikowi, który gardzi tym, kim jesteśmy?

Strategia skupia się na niekontrolowanej imigracji, w której widzi czynnik napędzający przestępczość i rozpad społeczny. Walka z nią jest zatem „pierwszorzędnym elementem bezpieczeństwa narodowego". Autorzy bezpośrednio łączą siłę narodową z wewnętrznym „zdrowiem duchowym i kulturowym", promowaniem „tradycyjnych rodzin" i odrzuceniem polityki DEI.

Diversity, Equity, Inclusion – różnorodność, równość, integracja – to zespół zasad, które zmierzały do sprawiedliwego traktowania i pełnego uczestnictwa w rynku pracy i w życiu społecznym grup historycznie marginalizowanych i dyskryminowanych. Zastąpiły je hasła, które brzmią jak napisane w latach 30. ubiegłego wieku czcionką znaną jako szwabacha.

„America First", czytaj: „mam was w dupie"

Dokument jest także krytyką amerykańskiej polityki zagranicznej od lat 90. Obwinia on „elity polityki zagranicznej" o dążenie do „permanentnej dominacji amerykańskiej" i uwikłanie USA w instytucje międzynarodowe, które osłabiają suwerenność. Twierdzi, że to nadmierne zaangażowanie doprowadziło do osłabienia amerykańskiej klasy średniej i – co absurdalne – osłabienia bazy przemysłowo-wojskowej. Serio?!

Dokument jasno i wprost opowiada się też za znaczną reorientacją strategiczną – co oznacza pierwszeństwo polityki USA na półkuli zachodniej. Czyli na całym kontynencie amerykańskim z przyległościami w celu wykluczenia obecności „wrogich obcych mocarstw" i kontrolę kluczowych aktywów w obu Amerykach – w imię bezpieczeństwa granic i interesów ekonomicznych.

Czyli USA, zamiast „narzucać zmiany demokratyczne innym", będą utrzymywać relacje w oparciu o wzajemny interes.

I tu dochodzimy do polskiej choroby, której objawy widzimy od lat, a która teraz może przybrać postać śmiertelnej gorączki. Dokument odnawia starą doktrynę Monroe'a – co w praktyce oznacza to, że USA uznają całą półkulę zachodnią za swoją strefę wpływów, zastrzegając, że każda interwencja europejska będzie traktowana jako wroga ingerencja. Strategia Trumpa poszerza tę doktrynę. Wygląda na to, że w intencji Trumpa nie tylko półkula zachodnia (a w domyśle i wschodnia Europa?) ma być wyłączną strefą wpływów Waszyngtonu wolną od wpływów „obcych mocarstw".

Czyż nie brzmi to jak marzenie pewnej części naszej prawicy? Marzenie o byciu wasalem potężnego protektora, który „da" nam broń, tani gaz i pozwoli bezkarnie toczyć własne wojenki kulturowe?

Czas na europejską niepodległość

Co w tej sytuacji robić? Płakać? Błagać? Nic z tych rzeczy. Ten dokument jest dla Europy i dla Polski ostatecznym dzwonkiem budzika. To brutalne, ale potrzebne otrzeźwienie. Nie możemy już traktować USA jako sojusznika. Sojusznik nie grozi, nie szantażuje i nie gardzi.

Musimy zrozumieć, że jedyną gwarancją naszego bezpieczeństwa i naszych wartości jest prawdziwa, suwerenna siła Europy. Nie tylko siła militarna – i na pewno nie poprzez zakupy broni od USA, które mogą w każdej chwili odciąć nas od możliwości jej praktycznego użycia – ale przez siłę gospodarczą. Przez suwerenną zieloną energetykę, sprawiedliwy przemysł uniezależniający nas od kaprysów wielkich mocarstw oraz przez integrację polityczną Europejczyków. Siła polityczna – przez obronę naszej demokratycznej wspólnoty przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi.

Amerykańska strategia z 2025 r. pokazuje, że Zachód jako wspólnota wartości nie istnieje. Istnieje za to Europa, która musi stanąć na własnych nogach. Albo zbudujemy swoją potęgę, opartą na prawach człowieka, solidarności i zielonym rozwoju, albo staniemy się pionkiem w grze, w której zawsze będziemy robić za jelenia.

Ale... jak uczy życie, nawet przykry rozwód bywa szansą. Szansą na to, by w końcu dorosnąć.

ANNA GRODZKA

Niemy kontra odklejony

Polska w świecie Hobbesa

Wizja rzeczywistości, przedstawiona w ogłoszonej właśnie doktrynie Trumpa, uderzająco przypomina świat Thomasa Hobbesa, w którym – wedle pamiętnej formuły – panuje wojna wszystkich przeciwko wszystkim, a życie jest samotne, ubogie, brutalne i zwierzęco krótkie. Parafrazując angielskiego filozofa, państwo państwu jest wilkiem. Rzecz jasna, samcem alfa i przywódcą stada mają być Stany Zjednoczone, na czele których stoi wielki monarcha – Donald J. Trump.

Można krytykować miałkość doktryny Trumpa, ale nie ma to większego sensu, może poza czysto akademickimi dywagacjami. Jej znaczenie dla Polski jest jednak nie do przecenienia, bo pokazuje po fakcie absurdalność rachub rodzimych elit politycznych zapatrzonych w Waszyngton jak licealista w biust koleżanki. To ostatni dzwonek, wezwanie do przemyślenia naszego miejsca na arenie międzynarodowej i roli, jaką chcemy odgrywać w naszej części świata.

Milczenie jest złotem?

Nasz domorosły Trump, prezydent RP Karol Nawrocki, taktownie przemilczał nową doktrynę amerykańską, choć na naszym podwórku wciąż przyznaje sobie prawo do prowadzenia polityki zagranicznej.

Wczytałam się w oficjalną stronę prezydenta i znalazłam tam takie ważkie kwestie jak mikołajkowy występ Nawrockiego w Kanale Zero Krzysztofa Stanowskiego, kolejna rocznica wydarzeń w kopalni „Wujek", „uroczysta Finałowa Gala 7. Plebiscytu na Sportowca Roku #Guttmanny 2025", gorące życzenia dla ojca dyrektora Rydzyka z okazji kolejnej rocznicy Radia Maryja: „Dziękuję za wspaniałą medialną służbę odpowiadającą na oczekiwania rzesz rodaków. Z uznaniem patrzę na konsekwencję i bezkompromisowość w sprawach fundamentalnych, które sprawiły, że Radio Maryja stało się dla rodaków w kraju i na całym świecie wiarygodnym głosicielem prawdy, jedności i wierności".

Nawrocki miał szansę wypowiedzieć się jako przywódca kraju, skoro w odezwie do obchodzących 158. rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego zauważa: „bez wahania uznajemy dzisiaj oraz będziemy uznawać w przyszłości, że jego zasługi dla Polski są epokowe. Stanowią one wspaniałe, niewyczerpane dziedzictwo, ważne również wobec wyzwań XXI wieku. Warto, abyśmy wnikliwie wsłuchiwali się w znane, a przecież niezmiennie pouczające słowa Marszałka: »Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska«. Dzisiaj, gdy naszym udziałem są zarówno istotne historyczne triumfy, jak i poważne zagrożenia, to przesłanie duchowej mocy i niezłomności pozostaje aktualne i mobilizujące".

Prezydent RP, legitymujący się stopniem doktora nauk, miał okazję wykazać się dalekowzrocznością i przenikliwością, wskazując na to, co mu duch marszałka Piłsudskiego podpowiada w kwestii właściwej reakcji na doktrynę Trumpa. Tymczasem, jak pisuje się w tandetnych książkach, wybrał wyniosłe owinięcie się w szatę milczenia. Jak można się domyślić, w jego imieniu wypowiedziało się kierowane przez Sławomira Cenckiewicza Biuro Bezpieczeństwa Narodowego w opublikowanej „Notatce syntetycznej. Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA".

Rys. MARCIN CHUDZIK

W notatce BBN czytamy: „Dokument ma daleko idące konsekwencje dla Europy i Polski: przesuwa ciężar odpowiedzialności za bezpieczeństwo na państwa regionu, zwiększa strategiczne znaczenie naszej części Europy, otwiera przed Polską nowe szanse, ale i wymusza większą samodzielność obronną". BBN podkreśla, że w strategii Trump zwraca uwagę na „zdrowe państwa Europy Środkowej, Wschodniej i Południowej", które „są przedstawione jako bardziej stabilne, odporne i zdeterminowane w sprawach bezpieczeństwa". Zdaniem BBN w Trumpowym dokumencie „sugeruje się wzmacnianie tych państw poprzez więzi gospodarcze, sprzedaż uzbrojenia, współpracę polityczną oraz wymianę kulturową i edukacyjną"…

Oczywiście, jak zareagować na doktrynę Trumpa, notatka nie mówi.

Odklejka polskiego Donalda

Inną strategię wybrał premier Donald Tusk, którego anglojęzyczny tweet na portalu X w dniach 6–7 grudnia był najbardziej popularną wiadomością polityczną w serwisie Elona Muska, który skądinąd podał go dalej.

Co takiego wiekopomnego napisał polski Donald? Zacytuję w całości: „Drodzy amerykańscy przyjaciele, Europa jest waszym najbliższym sojusznikiem, a nie waszym problemem. I mamy wspólnych wrogów. Przynajmniej tak było przez ostatnie 80 lat. Musimy się tego trzymać, to jedyna rozsądna strategia naszego wspólnego bezpieczeństwa. Chyba że coś się zmieniło".

W tym rzecz.

Coś się zmieniło, a rządzący krajem nie chcą tego przyjąć do wiadomości. Pomijam też drobny fakt, że z „ostatnich 80 lat" większość – bo lat 45 – amerykańskie bomby termojądrowe były wymierzone w Polskę (choć może PRL to dla Tuska nie była Polska).

Mówienie o „wspólnych wrogach" (w domyśle Rosji) w świecie hobbesowskim jest grubym nieporozumieniem: skoro Putin chce dosłownie ozłocić amerykański biznes, to żadnym wrogiem USA Rosja nie jest. Ba, w Moskwie nikt nie mówi – w odróżnieniu od Brukseli – o jakichś celach klimatycznych, wzmacnianiu bytów ponadnarodowych typu Unia Europejska, sprawiedliwości itp., więc jawi się ona jako nawet lepszy partner do interesów od Paryża czy Berlina.

Doktryna Trumpa to cios w splot słoneczny tzw. wspólnoty euroatlantyckiej i próba manewrowania przez nas między Europą a USA to bezmyślność granicząca z szaleństwem.

Oczywiście nie brak głosów, że w sumie amerykańska strategia to doskonała wiadomość dla Rzeczypospolitej, gdyż – jak wyjaśnia były szef MON Mariusz Błaszczak – „Donald Trump prawidłowo ocenia problemy wewnętrzne Starego Kontynentu", w tym kryzys tożsamości, zaś „diagnoza jest prawidłowa – to samo przez lata mówił rząd Prawa i Sprawiedliwości".

Tymczasem w świecie brutalnie wymuszanych interesów polską racją stanu jest wzmacnianie integracji europejskiej. Tylko zjednoczona Europa jest w stanie oprzeć się polityce siły Waszyngtonu i Moskwy. Odgrywanie roli osła trojańskiego USA w UE to przepis na Polskę słabą i wydaną na żer mocarstw.

Jeśli politycy nad Wisłą tego nie zrozumieją i będą żyć fantazjami o wielkiej Polsce – a nie kraju normalnym, średniego znaczenia – historia im tego nie wybaczy, bez względu na barwy partyjne.

KAT

eprasa.pl b688b282cd

Jak obstawiacie? Kto zostanie szefem lewicy?

To idzie młodość

Do chwili zamykania tego numeru „NIE” nie poznaliśmy odpowiedzi, na którą wszyscy czekamy z zapartym tchem: czy Włodzimierz Czarzasty jeszcze raz poświęci się dla idei, ojczyzny i partii – i zdecyduje się kandydować na lidera Nowej Lewicy. Wprost nie sposób opisać napięcia, jakie marszałek wywołuje w szeregach swoich zwolenników, każąc nam czekać tak długo na tak doniosłą decyzję.

No dobra, a teraz będzie serio.

Zainspirowany przez Donalda

Oczywiście, że Włodzimierz Czarzasty stworzył wszelkie warunki do tego, żeby wyglądać na jedynego poważnego kandydata. Zakaz sprzedaży alkoholu w sejmowych knajpach – stricte populistyczne zagranie pod publikę generalnie niechętną politykom (posłowie konsekwentnie lądują na dnie rankingu prestiżu zawodów, niżej są tylko influencerzy i youtuberzy) – wywindowało Czarzastego do pierwszej trójki sondażu zaufania. Z wynikiem 39,6 proc. nowy marszałek wpasował się między Sikorskiego i Kosiniaka-Kamysza, wyprzedzając m.in. premiera. Sukces nieco przyćmiewa fakt, że Szymon Hołownia na początku swego marszałkowania trafił na szczyt tegoż rankingu, raz miał nawet 54,4 proc. – rekord wszech czasów w sondażu zaufania IBRiS. Co odnotowuję oczywiście ze złośliwości, ale nie tylko. Koncept pozytywnego marszałkowania Hołowni – który wyraźnie podobał się wyborcom – był zgoła inny niż konfrontacyjna i małostkowa postawa Czarzastego. Moim zdaniem – lepszy. Naprawdę na polskiej scenie politycznej nie potrzebujemy więcej zawodników wagi ciężkiej w kategorii zapasów w gnojówce. Przywódca parlamentu mógłby być bliżej – no właśnie – kultury parlamentarnej.

Odłóżmy jednak na chwilę dyskusję z zakresu „Czarzasty a sprawa polska”. Pogadajmy o tym, co Czarzasty znaczy dla lewicy.

Z formalnego punktu widzenia – to jest mistrzostwo świata. Formacja, która dysponuje najmniejszym klubem parlamentarnym w koalicji rządzącej, ma i marszałka sejmu, i wicepremiera, i na okrasę dwóch ministrów konstytucyjnych. A przecież przejmując fotel marszałka, lewica powinna chyba oddać stanowisko wicepremiera. Z układu koalicyjnego zdaje się wynikać, że jest to albo – albo; w przeciwnym razie Polska 2050 miałaby wicepremiera od grudnia 2023.

Ponadnormatywnie silna pozycja NL w koalicji to ponoć efekt duchowej więzi łączącej Włodzimierza Czarzastego z Donaldem Tuskiem. W pouczającej książce Kamila Dziubki „Kierownik”, anonimowy „poseł Lewicy” opowiada, iż ich zbliżenie wzięło się ze wspólnego podejścia do demokracji wewnątrzpartyjnej. Podczas pierwszego spotkania Tusk miał zagadnąć Czarzastego o zawieszenie i wywalenie członków partyjnej opozycji. „Ty mnie do tego zainspirowałeś” – miał odpowiedzieć Czarzasty, dodając uroczą anegdotę o tym, jak Tusk przejechał walcem po ambicjach przywódczych Trzaskowskiego, który rok wcześniej dostał 10 mln głosów.

Twardy i lojalny

Jestem skłonna w to uwierzyć – bo, jako żywo, Tusk i Czarzasty reprezentują ten sam typ lidera i nie jest to lider otwarty na dyskusję i słuchający opinii innych. Na to nakłada się posłuszeństwo, które sam Czarzasty zadeklarował chwilę po wyborze na marszałka: „Chcę jasno powiedzieć: jestem członkiem tej koalicji, wspieram tę koalicję i będę twardym, lojalnym, przewidywalnym elementem tej koalicji”. W odróżnieniu – jak można zgadnąć – od Szymona Hołowni, który miał własne pomysły i nie chciał, na przykład, odłożyć zaprzysiężenia prezydenta Nawrockiego, objąć czasowo jego stanowiska i popodpisywać rządowi różnych ważnych ustaw. Nie wiem, jak Państwo, ale ja bez kłopotu wyobrażam sobie Czarzastego jako element realizacji tego planu.

No i nie sposób nie dostrzec też, że nowy marszałek sejmu odnosi się do szefa rządu mniej więcej tak jak reszta świata do Donalda Trumpa. Dobra, przesadziłam: pochlebstwa Czarzastego pod adresem Tuska nie są aż tak prostackie, bo też i Tusk, czego by o nim nie mówić, nie jest patologicznym narcyzem z wyraźnymi objawami demencji. Ale ten cichy ton poddaństwa jest w wypowiedziach nowego marszałka sejmu widoczny. Ostatnio na przykład Czarzasty zwrócił się do głowy państwa z ironiczną deklaracją, że jak nie ma fachowców do pisania ustaw, to on, Czarzasty, „służy pomocą” – po czym dodał przebiegle: „To jest taka rada, którą pan dał premierowi Tuskowi. Myśli pan, że panu premierowi Tuskowi było miło?”. Ale zaraz potem przypomniał sobie, że może premier – tak jak i on – nie uważa słabeuszy, których uczucia można zranić, więc skwapliwie dorzucił: „Chociaż myślę, że tak naprawdę premier ma dystans do tego”. „Dystans” to magiczne słowo Włodzimierza Czarzastego, cnota rozumu, którą przypisuje sobie w każdej wypowiedzi – chyba dość niezasłużenie, zważywszy, że jego osobista drażliwość i tendencja do chowania uraz są w partii dość znane.

Jednak to nie osobowość przewodniczącego powinna być największym zmartwieniem partii. Gorzej, że

nikt nigdy nie oskarżył Czarzastego o lewicowe poglądy. Co, moim zdaniem, jest niejakim problemem w przypadku lidera lewicy.

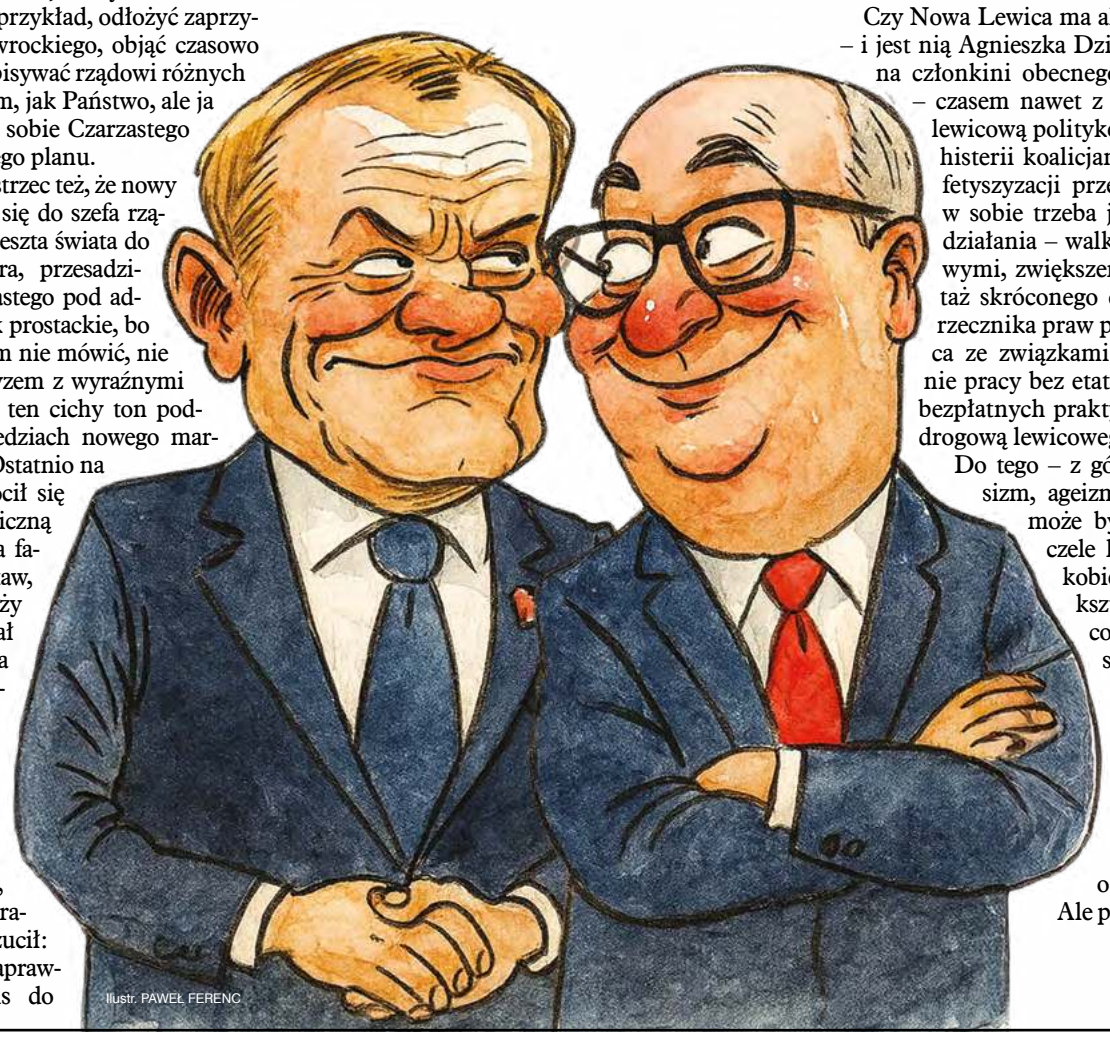

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jakiekolwiek przykłady sukcesów po lewej stronie w dzisiejszych ponuro prawackich czasach wiążą się ze stanowczością, wyrazistością i konsekwentnością poglądów. Zohran Mamdani, który wygrał wybory na mera Nowego Jorku; Bernie Sanders, który jest najpopularniejszym amerykańskim politykiem; Jeremy Corbyn, do którego nowej partii (mimo wszystkich wtop przy jej tworzeniu) z miejsca zapisało się 55 tys. ludzi – to przykłady polityków, którzy swoją radykalną lewicowością są w stanie wejść w równoprawne zwarcie z prawicowym populizmem. A tylko w ten sposób lewica może zwrócić na siebie uwagę wyborców. Jeśli chodzi o Czarzastego – to jedynym radykalizmem, jaki zdaje się przejawiać, jest radykalna żądza „współrządzenia”.

Oczywiście po burżuju, jakim jest Czarzasty, nikt się nie spodziewał budowy lewicy klasowej – ale może wykazałby choć odrobinę determinacji w kwestiach kulturowych? Co jest wszak dużo łatwiejsze: zdjęcie nieszczęsnego krzyża z sali obrad sejmu jest wyłącznie w jego gestii. Zamiast tego – słyszymy – marszałek zdjął krzyż w swoim gabinecie, ale tylko dlatego, że Tusk mu pozwolił. Ponoć na zamkniętym spotkaniu z klubem KO premier ogłosił, iż „ponad połowa Polaków ma liberalne i lewicowe poglądy”, więc „nie będziemy przeszkadzać lewicy”…

A może by tak…

Czy Nowa Lewica ma alternatywę? Oczywiście – i jest nią Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Jedyna członkini obecnego rządu, która próbuje – czasem nawet z sukcesem – prowadzić lewicową politykę, czym wprawia w stan histerii koalicjantów ze skłonnością do fetyszyzacji przedsiębiorców. Co samo w sobie trzeba jej zaliczyć na plus. Jej działania – walka z umowami śmieciowymi, zwiększenie uprawień PIP, pilotaż skróconego czasu pracy, powołanie rzecznika praw pracowników, współpraca ze związkami zawodowymi, zaliczenie pracy bez etatu do stażu pracy, zakaz bezpłatnych praktyk – są wyrazistą mapą drogową lewicowego rządzenia.

Do tego – z góry przepraszam za seksizm, ageizm i różne inne izmy – może byłoby nieźle, gdyby na czele lewicy w Polsce stanęła kobieta: inteligentna, wykształcona, wyraziście lewicowa, chwilę po czterdziestce? Tak dla odmiany? Może spróbujcie czegoś innego, Towarzysze, bo, jak rany, zadowolone z siebie dziaderstwo nie wychodzi Wam na zdrowie.

Nie żebym wysoko oceniała tę możliwość. Ale pomarzyć zawsze można.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Tak się bawią obrońcy ojczyzny

Trepowisko grzęzawisko cd.

18 grudnia najwyższa polska generalicja wraz czołowymi politykami i duchownymi kilku wyznań zbierze się w jednej z baz wojskowych na corocznej zakrapianej wyżerce zwanej opłatkiem.

Pośpiewają przy okazji o najbardziej znanym uchodźcy na świecie, czyli Jezusie z Nazaretu. Dysonansu żadnego przy tym czuć panie i panowie nie będą (o czym niżej). Wiewiórki nam donoszą, że jedyne ich niepokoje – proszę się nie śmiać – dotyczą własnego bezpieczeństwa, a więc „ruskich dronów”, które mogłyby nagle zaatakować to szacowne grono. I pozbawić polską armię dowództwa, i zdziesiątkować rząd.

Stąd szczególne względy bezpieczeństwa wokół bazy – choć, jak słyszymy od jednego z zaproszonych gości, część trepowiska w sabotaż Ruskich w ogóle nie wierzy. Bardziej w atak „pod fałszywą flagą” ze strony służb wywiadowczych Ukrainy. W taką akcję PR, która ma budować w Polsce strach przed Władimirem Putinem. Nikt z wojskowych tego publicznie oczywiście nie zwerbalizuje, bo w strukturze, jaką jest armia, zasada *tisze jedesz, dalsze budiesz* obowiązuje na wieki wieków.

Tymczasem Piotr Czaban, były reporter TVN, a obecnie dziennikarz obywatelski zajmujący się kryzysem uchodźczym na polsko-białoruskiej granicy, doniósł, że ma kontakt z Afgańczykiem zmasakrowanym kolbą karabinu przez żołnierzyka, którego Władysław Kosiniak-Kamysz publicznie chwalił na X, ilustrując to zdjęciem swojej twarzy i plecami woja.

Reporter szykuje z nim wywiad, póki co jednak dostał fotkę jego zmasakrowanej twarzy i wiadomość, że polskie służby deportowały go po cichu do Afganistanu. Tam mogą go czekać problemy, bo jak informuje Czaban, Afgańczyk i jego rodzina wspierali podobno Jankesów i armie sojusznicze, w tym polską, po amerykańskiej inwazji. A wszak – po pospiesznej rejteradzie USA i akolitów kilka lat temu – rządzi tam znowu Taliban w swoim klasycznym wydaniu.

Żeby było jeszcze śmieszniej, Czaban przypomina, że

największe media w Polsce miały historię Afgańczyka podaną jak na talerzu, łącznie z zapisem z kamery: jak to szwej pastwił się nad niekatolikiem i jak dopiero żołnierka, koleżanka sadysty, odciągnęła go w ostatniej chwili od bezbronnej ofiary. Ale dały dupy pod naciskiem władzy.

„Od lata tego roku to samo zdjęcie miał Onet. Tak – ten sam Onet, który dostał również nagrania z monitoringu, przedstawiające atak żołnierza na bezbronnego uchodźcę. Wideo nigdy nie zostało opublikowane” – napisał Czaban na swoim blogu.

To jednak wszystko wołanie na puszczy, bo w Polsce ciągle narasta militaryzacja łbów i wojenna histeria, w czym przoduje Sztab Generalny Wojska Polskiego z jego jeszcze pisowskim nominatem, generałem Wiesławem Kukułą na czele. Od kiedy jego rzecznikiem prasowym został płk Marek Pietrzak, profil Sztabu na X stał się platformą promującą krótkie survivalowe filmiki o tym, jak np. podczas wojny uczyć przedszkolaki krzesać ogień w lesie czy budować szałas z liści. Prymitywne i tanie, sądząc po wykonaniu, ale chyba skuteczne w perswazji.

Trudno się zatem dziwić, że według ostatniego sondażu Wirtualnej Polski ponad 59 proc. Polaków chce przywrócenia zasadniczej służby wojskowej. Póki to jednak nie nastąpi, rząd promuje gdzie się tylko da tzw. Dobrowolną Zasadniczą Służbę Wojskową (DZSW) i łowi potencjalne mięso armatnie pieniędzmi i przywilejami, kosztem jakości usług publicznych, w tym i kondycji finansowej NFZ.

Dawne Wojskowe Komisje Uzupełnień – czyli obecne Wojskowe Centra Rekrutacji – stoją więc otworem przed osiemnastolatkami płci obojga, z wykształceniem co najmniej podstawowym. I wielu się skusi, bo kocha gry wojenne na konsolach.

JMP

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Co byście powiedzieli o człowieku, który tak był powiedział: „Ja, że tak powiem, kryptowalutami się całkowicie nie zajmuję. Osobiście uważam, że powinny być zakazane, ale tutaj prezydent uznał, że to jest przeregulowanie”?

1. Że ów człowiek kryptowalutami się zajmuje, ale niecałkowicie.
2. Że w ogóle kryptowalutami się nie zajmuje.
3. Że uważałby, iż kryptowaluty powinny być zakazane, gdyby prezydent uznał coś innego niż to, że to jest przeregulowanie.
4. Że uważa, iż kryptowaluty powinny być bezwzględnie zakazane, a to, co uznał prezydent, nie ma znaczenia.
5. Że gdyby prezydent uznał coś nie tutaj, tylko gdzie indziej, to sprawa zakazania kryptowalut byłaby otwarta.
6. Że ów człowiek ma na imię Jarosław, nazywa się Kaczyński i plecie na każdy temat, co mu ślina przyniesie na 76-letni język.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl b688b282cd

Precz z badaczami!

Rząd chce zaoszczędzić nie tylko na badaniu pacjentów, ale też na Agencji Badań Medycznych.

W odpowiedzi na palący problem konającej ochrony zdrowia na początku grudnia odbyła się bitwa na „szczyty zdrowia". Panele dyskusyjne w obrębie problemów finansowych NFZ zwołali premier Donald Tusk i prezydent Karol Nawrocki. Konferencje odbyły się osobno, ale miały wspólny mianownik – na obu niewiele ustalono. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

Bitwa na głosy

4 grudnia rząd zorganizował szczyt medyczny pod hasłem „Bezpieczny pacjent". Trzy dni przed imprezą do mediów wyciekło pismo minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy do ministra finansów Andrzeja Domańskiego, w którym ta pierwsza zaproponowała szereg cięć mających przynieść oszczędności.

Wśród propozycji tradycyjnie padł pomysł zamrożenia ustawowych podwyżek dla medyków oraz zmiany w sposobie zatrudniania lekarzy na kontraktach. Zaciskanie pasa miało też objąć pacjentów. Zaplanowano przywrócenie limitów na porady specjalistyczne, tomografię komputerową, rezonans magnetyczny, cięcia m.in. w kardiologii, opiece koordynowanej, operacjach kręgosłupa, zaćmy, a nawet radioterapii. Od nowego roku NFZ miałby też zakończyć program „Dobry posiłek w szpitalu" i ukrócić fundowanie za uśmiech leków dla seniorów. Mimo to premier Donald Tusk na otwarciu konferencji przekonywał, że NFZ nie jest bankrutem, a w obrocie gospodarczym jest niewielu tak rzetelnych płatników jak fundusz. Zapewnił też, że nie będzie podwyżek składki zdrowotnej i opowiadał o miliardach ładowanych w system.

Prezydencki szczyt zdrowotny pod hasłem „Na ratunek ochronie zdrowia" miał miejsce dzień później. Nawrocki ogłosił podpisanie ustawy o Funduszu Medycznym, na mocy której NFZ uzyska 3,6 mld zł. Przy okazji spuścił pomysły minister zdrowia na cięcia po brzytwie. Prezydent podkreślił, że zdrowie to nie towar, i postulował pilne opracowanie i uchwalenie nowej ustawy, która obligatoryjnie zwiększy nakłady na zdrowie powyżej 7 proc. PKB.

Podsumowując: nie będzie zmian w ustawie podwyżkowej, nie będzie przywrócenia limitów. Nie będzie też – jak wynika z deklaracji premiera i ministra finansów – większej puli pieniędzy na zdrowie, bo i tak, wedle słów Tuska, państwo wydaje na nie więcej niż na obronność.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jedyne oszczędności, jakie w tej chwili może poczynić NFZ do spółki z ministerstwem, to zmiana stawek za niektóre, mocno w tej chwili przepłacone świadczenia. Otóż nie tylko. W pakiecie rekomendacji oszczędnościowych Ministerstwa Zdrowia znalazł się punkt, na temat którego nie zająknął się ani prezydent, ani premier. Chodzi o zmniejszenie finansowania Agencji Badań Medycznych. Ten ruch, jeśli propozycja wejdzie w życie, nie tylko zahamuje rozwój innowacji, ale zagrozi trwającym badaniom klinicznym i odbije się bezpośrednio na pacjentach.

Łatwy łup

Utrącenie sporej kasy zawarto w niewinnie brzmiącym zdaniu o „zmianie zapisu o przeznaczeniu 0,3 proc. przychodów NFZ na Agencję Badań Medycznych". Nowa wersja ma brzmieć „analogicznie jak dla AOTMiT (Agencja Ochrony Technologii Medycznych i Taryfikacji)" czyli: „do 0,3 proc.". To, co niewiele mówi laikowi, ma przynieść płatnikowi oszczędności rzędu pół miliarda złotych.

Ustawa (póki co) mówi, że NFZ musi przekazywać Agencji Badań Medycznych (ABM) dokładnie 0,3 proc. swoich rocznych przychodów ze składki zdrowotnej. Te w ostatnich latach NFZ wynosiły 150–170 mld zł rocznie – więc ABM otrzymywała 450–510 mln zł. Krótko mówiąc, obecny model finansowania Agencji został skonstruowany tak, aby zabezpieczyć jej działalność przed bieżącymi decyzjami politycznymi i zagwarantować ciągłość państwowej strategii wspierania innowacji w ochronie zdrowia.

Na co idą te środki? Chociażby na blisko 1,5 tys. projektów w obszarze biomedycznym, w tym 65 projektów onkologicznych realizowanych przez wybitnych klinicystów. Dla przykładu, w samym projekcie cALL-POL 741 dzieci z ostrą białaczką limfoblastyczną otrzymało szansę na bardziej nowoczesne i bezpieczne leczenie z zastosowaniem immunoterapii zamiast chemioterapii.

Jeśli kogoś nie przekonują zaraczone kaszojady, warto wspomnieć, że do tej pory w badania ABM włączono ponad 14 tys. osób. Jedną czwartą tej puli stanowią pacjenci z chorobami rzadkimi – grupy, dla których często nie istnieją żadne inne opcje terapeutyczne.

Agencja finansuje też blisko 90 proc. działalności naukowej instytutów naukowo-badawczych oraz do 50 proc. działalności naukowej uczelni medycznych. Jeśli sugerowana zmiana wejdzie w życie, da ministrowi zdrowia (a finalnie rządowi) swobodę podjęcia decyzji, że w 2026 r. ABM otrzyma mniej niż 0,3 proc. – choćby okrąglutkie zero. W praktyce zrodziłoby to szereg konsekwencji, w tym ryzyko niewykonania już zawartych umów i związane z tym potencjalne następstwa prawne czy konieczność wstrzymania bądź ograniczenia trwających badań. Najbardziej oberwaliby oczywiście pacjenci.

Rządowa gilotyna

Rząd nie konsultował z kierownictwem ABM projektowanych redukcji finansowania, ale zdążył zrobić podkop pod fundamenty swojej decyzji.

Były minister zdrowia i europoseł KO Bartosz Arłukowicz, tuż po politycznej licytacji na rozwodnienie kłopotów resortu zdrowia, jak na komendę zaczął torpedować działania Agencji Badań Medycznych.

W kilku wpisach na platformie X wezwał prezydenta Nawrockiego do publicznego ujawnienia informacji, czy w skład powołanej przez niego Rady Zdrowia weszli ludzie, którzy mają „nierozliczone milionowe projekty badań nad lekami nowotworowymi w Agencji Badań Medycznych".

Istotnie, audyt przeprowadzony w ABM przez kontrolerów Krajowej Administracji Skarbowej wykazał 222 mln zł strat i nie była to jedyna ujawniona nieprawidłowość w wydatkowaniu środków. Tyle że kontrola dotyczyła zarządzania pieniędzmi publicznymi za rządów Zjednoczonej Prawicy w latach 2022–2023. Co ciekawe, audyt nie objął już działalności nowego prezesa prof. Wojciecha Fendlera, którego Izabela Leszczyna powołała na stanowisko w maju 2024 r.

Arłukowicz zasiadał w Komisji Zdrowia, która prześwietlała działalność ABM za rządów kaczystów. Mimo to sugestię, że część funduszy na projekty onkologiczne nie została rozliczona, a projekty zamknięto bez efektów, puścił w eter bez podania szczegółów. W rezultacie Agencja Badań Medycznych, która w ostatnich latach pod egidą Ministerstwa Zdrowia zaczęła budować solidny kapitał klinicznych innowacji, została skojarzona z przewałem na grube miliony i lewymi intencjami Nawrockiego.

Czas pokaże, czy rząd – pod pretekstem rozliczeń politycznych – dokona skoku na kasę Agencji Badań Medycznych w białych rękawiczkach. Pytanie, czy badania biomedyczne i bezpieczeństwo pacjentów pozostaną strategicznym obszarem dla państwa, pozostaje otwarte.

IDALIA DUBICKA

Rys. WIDGET

Obwoźny cyrk Zandberga

TurboPolska na wstecznym?

Nie wiem czemu, gdy oglądałam relację z niedawnego spotkania Adriana Zandberga w Bielsku-Białej – a wielkim hitem na YouTubie ono nie było, ledwo 4,3 tys. wyświetleń w dziewięć dni! – przypomniał mi się kultowy felieton Jerzego Urbana, „Obwoźne sado-maso". A zwłaszcza słowa: „Dziadunio Karol Wojtyła nałogowo spala mnóstwo benzyny lotniczej, żeby w różnych krajach mamrotać o miłości bliźniego, demonstrować zaś miłość własną".

Lider Partii Razem też zużyje wiele litrów benzyny czy energii elektrycznej (jak będzie jeździł koleją lub autem hybrydowym), aby mamrotać we wszystkich dawnych 49 stolicach województw o „TurboPolsce", „Polsce z atomu, krzemu i stali" itp. Jak na polityka Zandberg nie jest stary, ale do grona młodzieniaszków też się już raczej nie zalicza. Jawi się jednak jako postać równie – jeśli nie bardziej – zużyta jak Włodzimierz Czarzasty, Donald Tusk czy Jarosław Kaczyński.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sny o potędze

Lord Acton ukuł słynną formułę, że władza deprawuje, a władza absolutna – deprawuje absolutnie. Dialektycznie jednak patrząc, odwrotne stwierdzenie jest równie prawdziwe: bezsilność deprawuje, a bezsilność absolutna – deprawuje absolutnie. Zdaje się, że ten ostatni przypadek dotyczy Zandberga i jego ugrupowania, o którym daje się powtórzyć opinię, która krążyła przez wieki o dynastii Habsburgów: niczego nie zapominają, niczego się nie uczą.

Jak wiadomo od Marksa, każda rzecz w historii dzieje się dwa razy: raz jako tragedia, potem jako farsa. Zgodnie z tą zasadą obecnie głównym wrogiem Zandberga znów jest tzw. lewica i osobiście marszałek Czarzasty. W tej rzece Razem już było dokładnie dekadę temu – dzięki czemu lewicy w ogóle nie było w sejmie, a władzę przejął PiS.

Lider Partii Razem, wkurwiający ludzi nieznośną manierą skostniałego belfra, ex cathedra pouczającego gówniarzy, wyraźnie nie wyciągnął wniosków z faktu, że dzięki wspólnej liście z Czarzastym zdobył w parlamencie dziewięć mandatów, a dziś koło Razem liczy całe cztery osoby. Większość odeszła do współrządzącego Czarzastego, a Paulina Matysiak została wywalona z partii, gdyż w swych wypowiedziach bywała nieodróżnialna od narracji PiS-u.

Chcę być precyzyjna. Wiele z tego, o czym mówi Zandberg, brzmi dla moich uszu niczym balsam na zranioną lewicową duszę: stanowisko w kwestii mieszkaniowej, wsparcie dla związków zawodowych, pomoc państwa dla najsłabszych członków społeczeństwa, liberalizm światopoglądowy (aborcja, prawa osób ze społeczności LGBT). Oczywiście fajnie się słucha o tym, że Polska stała się zakładniczką sporu dwóch ziejących do siebie nienawiścią emerytów – szefów PiS i KO. Krytyka przyjętego przez sejm budżetu była niezwykle celna. Listę tę pewnie można by nieco wydłużyć.

Problem tkwi jednak gdzie indziej. Zandberg jest szefem partii, deklarującym ogromne ambicje – mówi wprost, że chce, aby po wyborach w 2027 r. nie można było stworzyć większości rządzącej bez jego stronnictwa – a bardziej wygląda na szefa klubu dyskusyjnego. Myślę, że mógłby, zainspirowany Jaroslavem Haškiem, zmienić nazwę z Razem na Partię Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa.

Niczym generałowie, którzy zawsze tworzą wojsko, które miałoby wygrać poprzednie wojny, Zandberg wchodzi w buty niegdysiejszych socjaldemokratów, którzy uciekają od rozwiązań problemów społecznych w snucie wizji technokratycznych, raczej niekontrowersyjnych i potencjalnie interesujących dla wyborców. Kłopot wszakże w tym, że – pomijając kwestie drugorzędne – program TurboPolski w znacznej mierze wdrażać może (jeśli już nie wdraża) KO, a wcześniej PiS. Pewnie jego kluczowe elementy znalazłyby uznanie nawet w Konfederacji Mentzena. W tym kontekście nie dziwi przymilanie się byłych razemitów do PiS czy koalicji rządzącej: po prostu chcą oni (a częściej – one) realizować program Zandberga.

Ucieczka w przyszłość

Ciekawe, że tęgi – w naszej prowincjonalnej, przaśnej skali – głowacz, jakim wydaje się wiking Adrian, zupełnie nie pamięta klęski Partii Pracy w latach 70. LP też dużo mówiła wtedy o nowej strategii rewitalizacji brytyjskiego przemysłu.

Zacytujmy Zandberga z Bielska-Białej: „Znaczenie ma to, czy postawimy w Polsce centra obliczeniowe. Znaczenie ma to, czy uda nam się unowocześnić naszą produkcję, zrobotyzować gospodarkę. Znaczenie ma to, czy uruchomimy sensowny program satelitarny, czy zbudujemy na czas elektrownie jądrowe, zanim siądzie kompletnie system oparty na węglu"…

Znam kraj, w którym to wszystko jest. I centra obliczeniowe, i nowoczesna produkcja z robotami, i programy satelitarne, i szybko budowane elektrownie jądrowe. Nazywa się on Chińska Republika Ludowa. Ale po prawdzie, w jakiejś mierze jest to prawdą w odniesieniu do paru innych krajów, z których żaden nie jest przesadnie sprawiedliwy ani lewicowy.

Dość przygnębiające wrażenie robi wizja Polski z atomu, krzemu i stali – bo dziwnie przypomina rozkwit gatunku science fiction sprzed pół wieku, kiedy w obliczu kryzysu naftowego, katastrofy ekologicznej i końca keynesizmu jako skutecznej recepty gospodarczej Zachód szukał ucieczki przed palącymi problemami na Ziemi w snuciu wizji o podbojach kosmicznych. Łatwiej było sobie wyobrazić kolonizację innych planet, najlepiej poza naszym Układem Słonecznym, niż rozwiązać problemy na Ziemi. Trudno oprzeć się wrażeniu, że

nie istnieje żaden konieczny związek między nowoczesnością gospodarki i tempem jej wzrostu a społecznym dobrostanem, a zwłaszcza losem najsłabszych.

Czy samotny 50-latek ze wsi, wegetujący dzięki pracom dorywczym, znajdzie zatrudnienie w centrum obliczeniowym?

Czy dziewczyna z Żabki ucieszy się, że zastąpi ją w pracy robot, a ona znowu będzie żyła na łasce rodziców?

Świat zapatrzony jest w Dolinę Krzemową, lecz jej sukces trudno powtórzyć. Ale czy w ogóle warto? Przebogate miasto Palo Alto (zwane epicentrum Doliny Krzemowej) jest miejscem, w którym dokonuje się najwięcej na głowę operacji plastycznych; pod względem sprzedaży luksusowych samochodów zajmuje drugie miejsce. Jednocześnie w Palo Alto Wschodnim ponad jedna trzecia dzieci jest bezdomnych, co bierze się z wysokich cen mieszkań.

Drogi Adrianie: wizja TurboPolski może się ziścić, ale będzie to nasze przekleństwo, a nie błogosławieństwo…

ZUZ

eprasa.pl b688b282cd

Jelita pełne polskości

„Patriotyzm gospodarczy kończy się, gdy trzeba za niego zapłacić” – Michał Leszek, twórca marki Krüger & Matz.

Ładnych parę lat temu polskie sądy uznały, że biało-czerwone flagi wkładane w psie kupy, to „działanie sprzeczne z prawem i moralnością”. PiS się tym nie przejęło. Uznało, że polskie flagi wkładane w jądra, nerki, golonkę, raciczki, czy inne zwierzęce truchło to nie tylko obowiązek, ale również szczyt patriotyzmu. Dziś o rządach PiS gawiedź zdaje się już nie pamiętać. Pewnie dlatego, że Tusk przejął od Kaczyńskiego et consortes biało-czerwoną retorykę i opowiada, jak to repolonizuje polską gospodarkę.

Skrwawiona flaga

I dlatego od pięciu lat obowiązują przepisy nakładające na sklepy obowiązek znakowania mięsa sprzedawanego na wagę grafiką przedstawiającą flagę kraju pochodzenia produktu. Sprzedawcy się przyzwyczaili i już nawet nie są źli. Choć wtedy szlag ich trafiał, bo głupota pisowskiego rządu już w 2017 r. zmusiła ich do umieszczania przy chapaninie informacji słownej o państwie pochodzenia. Do jej wydrukowania wystarczyła zatem normalna drukarka z czarnym tuszem. Od października 2020 r. budki z mięsem musiały się doposażyć w drogie tonery do koloru.

Źli byli również dyplomaci akredytowani w RP. Ich nikt nie spytał, czy nie będzie niestosowne zestawianie ich barw narodowych z żeberkami czy golonką. Nie wspominając już, że barwy te nader często były okrwawione resztką posoki. Na szczęście w grupie tej nie było Izraela. Polska nie importowała z tego państwa mięsa, które w polskim sklepie musiałoby obowiązkowo nosić Gwiazdę Dawida. Na szczęście nie sprowadzaliśmy go też z Indonezji i z Malty, bo ichniejsze flagi w kolorze białym i czerwonym, mogłyby zmylić polskiego konsumenta.

Na stoiskach mięsnych można więc pooglądać flagi Niemiec, Danii, Belgii, Hiszpanii czy Włoch. I to wcale nie w zatrważającej ilości. Importowane fragmenty martwych zwierząt to ok. jednej piątej mięsnej masy zjadanej przez Polaków. Większość chapaniny jest nasza, biało-czerwona. Kramy z mięchem winny się zatem prezentować niczym ulice 2 maja lub 11 listopada.

Wspomniany już oblig wypisywania na etykiecie nazwy kraju, z którego pochodzi mięso, przez dwa lata zdziałał tyle, że import nie tylko nie spadł, ale wzrósł. Ludziom nie przeszkadzała szwabska szynka czy duńska polędwica zamrożona parę lat wcześniej.

Oczywiście nie przeszkadzało to też PiS. Ówczesna władza była jednak ciśnięta przez polskich hodowców, którzy chcieliby sprzedawać więcej i drożej. To z myślą o nich należało udawać, że coś się dla polskiego rolnika robi. Wprowadza flagi. Oprócz tego pisowska władza dużo mówiła.

„Konsumenci muszą zacząć kupować polskie produkty, nawet jeśli tymczasowo są nieco gorsze” – powiedział w 2017 r. Jan Filip Staniłko, zastępca dyrektora Departamentu Innowacji w Ministerstwie Rozwoju. „Dzięki temu polskie firmy będą mogły rozwinąć się na tyle, by w końcu konkurować z zagraniczną konkurencją” – dodał, po czym awansował błyskawicznie na dyrektora departamentu.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Apelujemy do wszystkich, aby w czasie robienia zakupów zwracali uwagę na to, gdzie wyprodukowane jest to, co kupują, i aby starali się, mając do wyboru różne produkty na sklepowych półkach, wybierać te, które zostały wyprodukowane w naszym kraju” – nie omieszkał zająć w tej kwestii stanowiska prezydent Andrzej Duda. Premier Morawiecki zapluwał się zaś, promując akcję, żeby kupując, patrzeć na kod kreskowy i jak na początku będzie 590, to znaczy, że to polski produkt i trzeba go łykać.

Patriotyzm hipermarketowy

Rządowy CBOS zrobił nawet stosowne badania. Ale i jemu wyszło, że dla 74,3 proc. Polaków podczas zakupów najważniejsza była jakość. Na cenę zwracało uwagę 69,2 proc. konsumentów. Polskość lub nie była istotna dla ledwie 34 proc. robiących zakupy. Tak przynajmniej deklarowali respondenci CBOS-owi. Gdy jednak badania zamówiła firma od godła „Teraz Polska”, to ponad 73 proc. respondentów zadeklarowało, że „polskość” zachęca ich do zakupu danej marki.

Prawdziwe badania rynkowe robione dla handlujących firm wykazały, że deklaracje patriotyczne mają się nijak do rzeczywistości. Polskim pochodzeniem produktu kierowało się na zakupach ledwie 5 proc. z nas.

Przy tej okazji okazało się, że nie bardzo wiadomo, co to jest polski produkt. Reklamowana przez Morawieckiego liczba 590 mówiła tylko to, że rzecz została wyprodukowana w Polsce. Czyli mogła zostać u nas skręcona z zagranicznych komponentów. A na dodatek tak przez firmę polską, jak i zarejestrowaną u nas korporację zagraniczną. Czy więc zarejestrowana w Polsce firma zagraniczna jest firmą polską? Czy – z kolei – coś zrobione w Chinach na zlecenie polskich biznesmenów jest nasze, czy chińskie?

Tak ma produkująca elektronikę firma Krüger & Matz, która powstała za polskie pieniądze na bazie rodzinnej firmy Lechpol. Ilu patriotów konsumenckich by na to wpadło?

Kod 590 oznacza też rzecz, która została wyprodukowana gdzieś w Azji przez zarejestrowaną spółkę córkę międzynarodowej korporacji. Tyle że rzecz ta przyjechała do Polski i dopiero tu została zapakowana.

Jak być patriotą gospodarczym, gdy się kupuje samochód? Czy wystarczy kupić Opla wyprodukowanego w Gliwicach, czy raczej Fiata z Tychów, jeżeli obie marki i tak należą do jednego francusko-włosko-amerykańskiego koncernu? Ale to jeszcze i tak nic, bo jaką flagę należałoby postawić przy karkówce czy szynce pozyskanej ze świni, która co prawda tuczyła się w Polsce, ale jako warchlak wychowywała się w Danii?

Jak niegdyś za czasów PiS, tak i dziś Polski Związek Niezależnych Producentów Świń ciśnie rząd o zmianę przepisów dotyczących oznakowania mięsa w sklepach. Bo flaga nie działa. Obecne bowiem przepisy pozwalają na to, by niemieckie mięso po obróbce w Polsce było sprzedawane jako produkt krajowy. Pod flagą biało-czerwoną.

Nasze, czyli portugalskie

Żeby zrobić dobrze każdej władzy uprawiającej urzędowy patriotyzm, niektóre zagraniczne firmy mocno udają, że wierzą w bzdury o patriotyzmie ekonomicznym Polaków. Sieć Kaufland ruszyła w swoim czasie z hasłami „nasze rodzime produkty”, „nasze polskie produkty”, „rodzimi dostawcy”. Konkurencja poszczuła na nich Urząd Ochrony Konsumenta i Konkurencji, który skonkludował, że „reklamy sugerowały nabywcom w Polsce, iż niemiecka firma Kaufland jest polskim przedsiębiorcą i sprzedaje głównie polskie produkty”. UOKiK nakazał więc usunąć z haseł słowo „nasze”.

Portugalska Biedronka przekonuje od zawsze, że jest bardziej niż polska. Opowiadała, że „My Polacy tak mamy”, „Doceniamy polskie produkty”, „Prawdziwe polskie jedzenie gotują nasze mamy, a prawdziwe polskie produkty znajdziesz w Biedronce”. Lidl, który ma tego samego właściciela co Kaufland, czyli niemiecką Schwarz-Gruppe, lubował się w reklamach z polskimi postaciami historycznymi i muzyczką polską na wskroś. Przekonując, że niemieckie wszak sklepy i towary z nich są prasłowiańskie z ducha i ciała. Czy ktoś się na takie plewy łapał? Nie, otóż.

To, co zostaje ludziom w pamięci z reklam sieci sklepów, to promocje, promocje i promocje. Przy całym swoim analfabetyzmie ekonomicznym Polacy czują, że patriotyzm gospodarczy to lekka ściema.

Fakty to potwierdzają. Od 1990 r. import zagranicznych produktów nieustannie rośnie. Z ok. 19 proc. PKB w 1990 r. do ponad połowy teraz. Z drugiej jednak strony, Polska stała się krajem, który zaczął żyć z eksportu. Mamy z niego prawie 60 proc. polskiego PKB. Nie byłoby tego, gdyby cały świat stał się nagle patriotyczny gospodarczo.

PiS tego nie dostrzegało, co nie dziwi. Dziwi, że dla przypodobania się nacjonalistom bzdury repolonizacyjne opowiada i dzisiejsza koalicja. Utrzymuje się głupotę z flagami w mięsie i choć Polska jest czwartym producentem wieprzowiny w UE z 1,9 mln ton, to w zeszłym roku zaimportowaliśmy o ponad 330 tys. ton świniny więcej, niż jej wysłaliśmy za granicę. Widać topienie noża w schabie niemieckiej świni narodowi się podoba.

TADEUSZ JASIŃSKI

SŁOWO CZERWONE

Czego nie rozumiecie?

Polacy są za polexitem na złość elitom

Co czwarty Polak chce, by Polska wyszła z Unii Europejskiej. To ludzie, którym szarlotkę z mózgu zrobiły media narodowe. Unia jest przedstawiana jako „eurokołchoz”, czyli związek niedobrowolny. Na szczęście wciąż większość społeczeństwa polskiego chce w nim pozostawać, ale pojawienie się tak dużej grupy zwolenników polexitu to sygnał ostrzegawczy.

To oznacza, że duża część ludzi jest niezadowolona ze swojej sytuacji materialnej, a winą za ten stan rzeczy obarcza elity polityczne, które są bardzo prounijne. Przykład Wielkiej Brytanii – kraju od nas o wiele większego i mocniejszego gospodarczo – pokazuje, że cena za wyjście jest ogromna. Gdyby w referendum z 2016 r. Brytyjczycy nie opowiedzieli się za wyjściem z Unii Europejskiej, byliby dziś nawet o 10 proc. zamożniejsi. Znacznie więcej z nich miałoby też pracę. Nowe szacunki ekonomistów wskazują, że koszty brexitu są większe, niż się dotąd wydawało – donosi portal Money.pl.

Jednak ludzie to nie komputery. Kierują się bardzo często emocjami, a nie zimną kalkulacją. Myślę wszak, że gdyby ktoś typu Nawrocki rozpisał referendum – wielu z tych, którzy w badaniu opowiedziało się za polexitem, niekoniecznie zdecydowałoby się za tym zagłosować. Uważam, że wypowiedzenie się w ankiecie za wyjściem było raczej pokazaniem języka elitom niż gotowością głosowania za wyjściem.

Czym innym jest ocena wielu niekorzystnych dla Polski decyzji Komisji Europejskiej, a czym innym oddanie głosu za porzuceniem klubu najbogatszych w imię dumy narodowej. Naszym głównym rynkiem zbytu jest Republika Federalna Niemiec. Na tym rynku lokujemy 27 proc. naszego eksportu. Dla porównania: według danych przedstawionych przez Narodowy Bank Polski bezpośredni udział USA w eksporcie brutto Polski wynosi jedynie 4,5 proc. Mimo to zwolennicy polexitu należą do najbardziej zagorzałych zwolenników zacieśniania więzi gospodarczych z USA.

Według danych z trzech pierwszych kwartałów tego roku 75 proc. polskiego eksportu przypadło na kraje Unii Europejskiej. Znalezienie innych równie bogatych rynków na nasze produkty będzie niemożliwe. Gdybyśmy wyszli z UE, powstałoby gigantyczne bezrobocie ze względu na brak rynków zbytu na nasze produkty. Gdyby siły narodowe wygrały – czeka nas wielka bieda.

Na szczęście większość Polaków jest wystarczająco dobrze wykształcona, żeby o tym wiedzieć.

Dlaczego więc ludzie inteligentni – za jakich uważam elity polskiej prawicy i skrajnej prawicy – grają kartą polexitu? Bo niechęć do wciąż bogatszego od nas Zachodu leczy kompleksy narodowe, wzbudza entuzjazm wśród sfrustrowanych, ledwo wiążących koniec z końcem mas ludowych. Polska składa się głównie z małych miejscowości, gdzie szowinistyczne hasła dobrze się sprzedają.

Ataki narodowej propagandy nie są, o dziwo, wymierzone w Federację Rosyjską, której się wszyscy boją, bo jak się zbudzi, to nas zje, tylko w Niemcy. Przy czym pośród tych Niemców nasi narodowi propagandyści atakują chadecję i socjaldemokrację, a najbardziej antypolską i szowinistyczną Alternatywę dla Niemiec pomijają co najwyżej życzliwym milczeniem. Ja mam odwrotnie.

Wzrost niemieckich wydatków na zbrojenia, w połączeniu z liderowaniem w sondażach AfD, dla której Brandenburgia to wciąż środkowe Niemcy, jest dość niepokojący. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego w okresie PRL Ziemie Zachodnie były niedoinwestowane.

Nigdy nie byliśmy tak do końca pewni, czy Szczecin i Wrocław dostaliśmy na zawsze. Umiecie sobie wyobrazić uzbrojone po zęby Niemcy z neonazistami na czele władzy państwowej? Ja niestety tak.

Takie patriotyczne partie jak AfD wspiera Donald Trump, który nie ukrywa, że zależy mu na Europie podzielonej, rasistowskiej i bezbronnej.

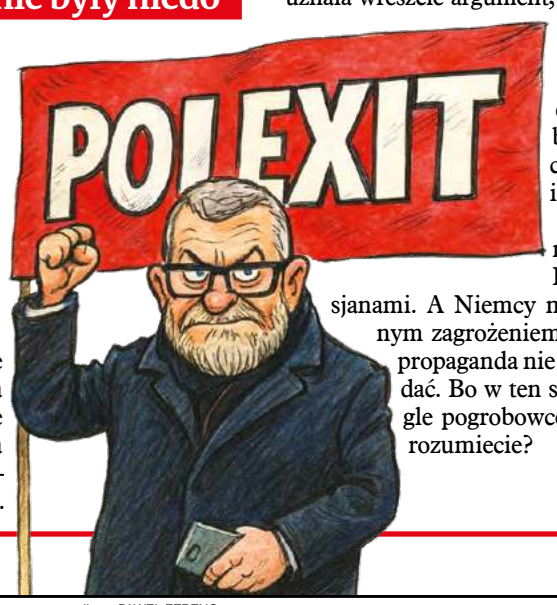

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sam fakt, że przywódcy europejscy naradzają się w sprawie zakończenia wojny na Ukrainie, amerykański prezydent uważa za niedopuszczalny. Powinni to zostawić jemu i Putinowi.

Zbliżenie na linii Waszyngton–Moskwa stawia pod znakiem zapytania amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa na wypadek ewentualnej napaści Rosji na Polskę. Ameryka pod rządami obecnego prezydenta nie zwróci się raczej przeciw nowemu sojusznikowi, Rosji, z którą Trump planuje bardzo korzystne interesy. W obliczu rosyjskiej ekspansji Europa jest zdana na siebie – zwłaszcza że Ameryka nie wspiera już finansowo broniącej się rozpaczliwie Ukrainy.

Przyroda nie znosi próżni. Jeżeli wypadniemy z Unii, Rosjanie znajdą sposób, żeby odzyskać swoje imperium – i nawet jeśli nie wkroczą zbrojnie, to wymyślą, jak nas skolonizować gospodarczo.

Jednym z głównych straszaków jest w Polsce relokacja uchodźców. Ten straszak jednak przestanie działać, kiedy ludzie zdadzą sobie sprawę, że Unia uznała wreszcie argument, że przyjęcie przez Polskę uchodźców z wojennej Ukrainy wyłącza nas z grona krajów, do których kierowani będą ludzie uciekających z innych niż Ukraina kierunków.

Stany Zjednoczone nie są już sojusznikiem Polski. Trzymają z Rosjanami. A Niemcy mogą stać się śmiertelnym zagrożeniem, jeśli nasza narodowa propaganda nie przestanie na nich ujadać. Bo w ten sposób daje wiatr w żagle pogrobowcom Hitlera. Czego nie rozumiecie?

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl b688b282cd

Pan Graniczka i cnota młodzianków

Młodzież ma prawo do wychowania

Cała edukacyjna Polska od kilku tygodni dyskutuje o panu dyrektorze XLIV LO w Krakowie Mariuszu Graniczce, który obstalował jednemu z uczniów wizytę u fryzjera, albowiem miał on nieodpowiednie, czyli za długie, włosy. Czy uczeń włosy obciął, tego nie wiem, ale pewnie tak, bo inaczej chyba nie byłoby afery.

A tymczasem afera jest, i to niezła. Podwójna. Bo po pierwsze dyrektor nie powinien ingerować we fryzurę ucznia i zmuszać go ostrzyżenia się, a po drugie nie powinien bez zgody rodziców wypuszczać go ze szkoły. Wysyłając ucznia do fryzjera, nie tylko więc dokonał bezprawnej ingerencji w prywatność ucznia i jego rodziców, lecz w dodatku naruszył przepisy bezpieczeństwa. Ktoś poskarżył się w kuratorium (kto, tego nie wiem), a w konsekwencji tej skargi dyrektora czeka sprawa dyscyplinarna. Politycy, na czele z prezydentem Krakowa, w surowych słowach potępili zachowanie dyr. Graniczki, w internecie zawrzało i biedny dyrektor na rok przed emeryturą został sam, jak heretyk pod pręgierzem. Narzeka, że go szykanują, bo uczeń w zasadzie sam prosił, żeby go zaraz do fryzjera wypuścić, a w ogóle to przysłała go do niego nauczycielka, która już sobie nie dawała rady.

Sprawa jest naprawdę ciekawa i bynajmniej nie tylko anegdotyczna. Przede wszystkim trzeba dać sobie na wstrzymanie, jeśli chodzi o oceny. Nie znamy szczegółów, a w takich sytuacjach, gdy ktoś podejrzewany jest o nadużywanie swojej władzy i autorytetu, szczegóły są bardzo ważne. Może cała sprawa nie była silnie konfliktowa? Może nie było tam tego, co od razu przychodzi nam na myśl, czyli poniżania i upokarzania, a jedynie przesadny paternalizm?

Z oceną pana Graniczki się wstrzymam, jakkolwiek dla porządku wypada zaznaczyć, że szkoła nie może bez konsultacji z rodzicami nakazać uczniowi strzyżenia ani zwolnić go z lekcji i wypuścić na miasto bez nadzoru i zgody rodziców. Tutaj nic się nie da zrobić – przepisy zostały naruszone. Tyle że od stwierdzenia, że tak się rzeczy mają, do potępienia dyrektora za poniżanie ucznia droga jest dość daleka.

Niech się pan Graniczka boryka i broni. Wielka krzywda go nie spotka, bo kaliber sprawy też nie jest specjalnie okazały. Za to sprawa obyczajowo-etyczna, z którą mamy tu do czynienia, jest naprawdę gruba.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Otóż w ciągu ostatnich 50 lat cały Zachód przeorała rewolucja w zakresie stosunków społecznych, wywracająca na nice dawne obyczaje i prawa. Tam, gdzie funkcjonował paternalizm, nieraz ocierający się o przemoc – a więc w wojsku, w lecznictwie, a także w edukacji – zapanował duch poszanowania godności jednostki i praw człowieka, na czele z nietykalnością. Paternalizm ustąpił demokratycznemu partnerstwu, a wszelkie hierarchie służbowe zostały poddane ścisłemu uregulowaniu. Nikogo nie można szturchać, na nikogo nie można już krzyczeć ani w żaden sposób obrażać. Nie ma co z tym dyskutować – to wielkie zwycięstwo lewicy i środowisk lewicowo-liberalnych. Zmiana jest nieodwołalna i nieodwołalnie uznana za moralny postęp.

Nie znaczy to jednak, że nie mamy z tą wielką i chwalebną zmianą żadnych kłopotów i że nie stworzyła ona pola do nowych, wcześniej nieznanych nadużyć. Owszem, stworzyła, choć na pewno warto było zapłacić tę cenę. Tyle że nie jest to żaden powód, aby nadużycia i słabości ignorować. A jest ich wiele.

Najbardziej oczywiste to dramatyczne ograniczenie możliwości karania za przewinienia. Jest to szczególnie bolesne dla kadry szkolnej, bo na bezczelnego i nieposłusznego ucznia właściwie nie ma rady. Zwłaszcza jak stoją za nim równie rozbisurmanieni i niewychowani rodzice. Nawet stosowanie skromnych kar regulaminowych jest trudne, bo wymaga procedur, a w dodatku większość przypadków niegrzecznego zachowania trudno jest ująć w ramy przepisu i wedle przepisu osądzić. Przepisem nie da się wymusić kultury osobistej ani poskromić chamstwa. Co gorsza, formalizm adresowany jest raczej do instytucji niż jej „interesariuszy", więc np. w interesującym nas tutaj resorcie edukacji to raczej nauczyciel musi uważać na to, co mówi i jak się odzywa do ucznia, a nie odwrotnie.

Podniesienie standardów ochrony praw osobistych, np. praw ucznia, bardzo ogranicza możliwości utrzymania dyscypliny i stawiania wymagań innego rodzaju niż ściśle mierzalne, na przykład za pomocą egzaminu testowego. Wszelkie ocenianie „uznaniowe" może zostać, nomen omen, uznane za arbitralne, niesprawiedliwe i nieuprawnione.

Jednak wraz ze wzrostem standardów demokratycznych i antypaternalistycznych tracimy coś więcej niż autorytet starszych względem młodszych czy możliwości ujęcia życia szkolnego i procesu edukacji w pewne ramy i ryzy. Tracimy pewne dobra, które bardziej konserwatywne, tradycyjne stosunki pozwalają zachować. A są to dobra niebagatelne.

Gdy podwładny albo uczeń czuje respekt wobec przełożonych albo nauczycieli, gdy czuje lęk i wstyd, gdy naruszy zasady – to nie tylko uczy się tych ważnych emocji, poznając ich związek z życiem etycznym, lecz wchodzi w asymetryczną relację, od której paternalizm wziął swoją nazwę, czyli relację podobną do związku ojca z dzieckiem. Ojciec może być surowy i wymagający, lecz jednocześnie, a nawet właśnie dlatego, że jest wymagający, okazuje troskę i opiekuńczą odpowiedzialność. W życiu dziecka i młodego człowieka jest to niezwykle ważne, aby mieć koło siebie dorosłego, który i wymaga, i wspiera. Dziś zaś jest to bardzo trudne.

O ile wychowania do znajomości własnych praw, stawiania granic itp. mamy dziś pod dostatkiem, to wychowania w tradycyjnym tego słowa znaczeniu zaczyna nam brakować. Szkoła, znajdująca się pod presją instytucjonalnego oportunizmu i formalizmu, abdykuje.

Rodzice też nazbyt łatwo rezygnują z wychowania na rzecz przedwczesnego, ale jakże przyjemnego dla obu stron „partnerstwa" z dziećmi – a nierzadko też zamieniają wychowanie w laboratoryjną hodowlę egocentrycznych i nieodpornych na wyzwania życiowe narcyzów.

Pan Graniczka reprezentuje świat, który przegrał, ale odchodząc, zastawia młodszych z problemami, na które on sam nie ma odpowiedzi, ale na które i my odpowiedzi na razie nie mamy. Młodzież ma prawo do bycia wychowywaną, a każdy młody człowiek ma prawo otrzymać szansę, że stanie się kulturalnym, rozsądnym i przyzwoitym człowiekiem. Wygląda na to, że tego „prawa ucznia" nikt nie kwapi się wyartykułować i zrealizować.

JAN HARTMAN

Bajki dla myślących

Stwarzamy potwora

Dlaczego bezrobotni głosują na miliarderów

Frankensteina – czyli powieść i jej bohatera – stworzyła 19-letnia brytyjska pisarka Mary Shelley. Napisała ona książkę „Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz", w której to szalony naukowiec Victor Frankenstein tworzy sztucznego człowieka. Wprawdzie osobowość sztucznego człowieka w znacznej mierze wynikała z opresji, jakiej doświadczył od ludzi – ale dziś istnieje w zbiorowej świadomości jako nienaturalny, przerażający, nadludzko silny i wytrzymały potwór.

A ponieważ nie jestem 19-letnią niewinną dziewczyną z początku ubiegłego wieku, opowiem wam dziś współczesną, bardziej okrutną bajkę o innym nienaturalnym, nadludzko silnym i trwałym potworze: neoliberalnym rynku bez granic. Który powoli, z dnia na dzień, stwarza nam kolejne potwory: nacjonalizm i faszyzm.

Demokracja nie ginie pod ciosami wrogów – ona popełnia samobójstwo, podpisując cyrograf z potworem rynku bez granic. I wyobraź sobie, że robi to tak jak ktoś, komu wmówiono, że lina wokół szyi to w istocie naszyjnik dobrobytu. Przyjrzyjmy się więc temu spektaklowi globalizacji, która – choć przedstawiana jako „naturalny etap rozwoju" (słowa mają tu siłę trucizny podanej w kryształowym kieliszku) – jest politycznym projektem demontażu wszystkiego, na czym zbudowano zachodni system demokratyczny: stabilnych instytucji, kontroli społecznej, klasowej równowagi.

Zwracajmy uwagę na język – bo to on tworzy świadomość. Pomyślmy: „wolny handel" brzmi jak obietnica spaceru w słońcu; „deregulacja" – jak elastyczna lekkość; „swobodny przepływ kapitału" jest jak metafora rzeki… Choć to raczej tsunami, które porywa wszystko, co spotka na swej drodze – z tą różnicą, że zysk unosi się na powierzchni, a koszty toną w milczeniu.

To właśnie takimi zaklęciami unieważniono klasę robotniczą, zastępując ją „kapitałem ludzkim" – ludźmi pozbawionymi społecznej podmiotowości mimo pozornej broni, jaką im dano w postaci kartki wyborczej. Mogą ją wrzucać do (nomen omen) urny jako prochy pobożnych życzeń. Pozwolono im konsumować, klikać, kupować, reagować na bodźce – ale broń Boże nie myśleć o własnym interesie ekonomicznym. I tak rodzi się prekariat albo złudne marzenie o życiu w „klasie średniej". Tak jest w Polsce, w Ameryce, wszędzie – ludzie żyją w wiecznej pogoni za bezpieczeństwem, które neoliberalny potwór traktuje jak luksus, a nie prawo. Popatrzmy na Polskę:

jakże łatwo „nadwiślańscy liberałowie" wmówili ludziom, że problemem nie jest brak mieszkań, brak stabilnej pracy, brak godnych płac, lecz „za wysokie podatki", „rosyjskie zagrożenie", nieistniejący „komunizm", „roszczeniowość" i „chęć życia z zasiłków".

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Te słowa – starannie dobrane, powtarzane w mediach prywatnych jak mantry (bo media publiczne już wytruto) – przenoszą winę z korporacji na obywateli, z systemu na jednostki. Bo łatwiej rządzić ludźmi, którzy myślą, że są sami sobie winni. To klasyka językowej tresury. A tak zwana demokracja? A politycy, którzy mieli reprezentować nasze interesy? Bardziej dbają o to, by zrobić dobrze swoim finansowym dobroczyńcom, niż o nas.

A tymczasem globalny kapitał działa bez sentymentów: przenosi pracę tam, gdzie najłatwiej złupić pracownika, zyski z przyjemnością zasysa za pośrednictwem podatkowych rajów, koszty ekologiczne zrzuca na lokalne społeczności (zobacz choćby „zieloną transformację" redukującą się do masowej wymiany samochodów – piękny przykład, jak system potrafi zamienić planetarną katastrofę w biznesplan). Państwo pozbawione narzędzi regulacji, czyli rzeczywistej demokracji, staje się dekoracją – jak fasada kamienicy, za którą kryją się slumsy.

No i tu zaczyna się pointa naszej bajki… Do gry wchodzi nacjonalizm. Ludzie, którym zabrano kontrolę polityczną i ekonomiczną, próbują odzyskać ją symbolicznie. Czują ucisk potwora. Buntują się wewnętrznie i mentalnie grupują – szukają remedium. Ale potwora nie dostrzegają, bo tak sublimował w mgle neoliberalnej nowomowy, że stał się niedostrzegalny – poszukują zbawcy „führera", który będzie na tyle silny, że odwróci ich los. Wyobraź sobie amerykańskiego robotnika z „pasa rdzy" głosującego na Trumpa – bo to ten, który wreszcie powiedział mu, że jego gniew jest uzasadniony. Problem w tym, że ich „führer" to emanacja i awatar potwora. To tak jak w bajce, w której bohater daje się oszukać złemu czarnoksiężnikowi, bo ten zapewnia, że smok mieszka w złym lesie, choć faktycznie smok czai się za jego własną stodołą.

Nie ma wyjścia: jeśli demokracja ma przetrwać, musi odzyskać narzędzia sprawczości, a to oznacza radykalną przebudowę globalnego lub przynajmniej europejskiego systemu podatkowego i finansowego. Sprawiedliwe opodatkowanie dochodów i majątków. Realne opodatkowanie korporacji. Likwidację rajów podatkowych. Przywrócenie państwu roli inwestora publicznego. To nie ma być rewolucja – to ma być higiena, której neoliberalizm zakazał, by samemu móc rosnąć jak pleśń na ścianie.

I tu, być może, pojawia się najważniejsze pytanie: czy jesteśmy gotowi wyrwać się z językowych zaklęć neoliberalizmu i stworzyć nowe słowa, nowe opowieści, które nie będą służyć władzy kapitału, lecz ludziom? Niech dostrzegą potwora, zamiast w osobie „führera" szukać lekarstwa, które ich zabije. Bo jeśli nie, to świat, który nadchodzi, nie będzie ani globalny, ani demokratyczny – będzie po prostu sceną dramatycznej konfrontacji.

I może właśnie tu zaczyna się nowe pytanie – to, które każdy z nas musi zadać sobie sam: czy chcemy żyć w świecie, który napisał dla nas chciwy potwór, czy w świecie, który odważymy się dopiero sobie wyobrazić?

ANNA GRODZKA

eprasa.pl b688b282cd

Czego ci nie mówią o pieniądzach

Odcinek 6

Po co państwu podatki

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wyobraź sobie, że uczysz w szkole. Chcesz jakoś zmotywować dzieci do pracy. Chcesz np., aby utrzymywały porządek, ćwiczyły nowe zwroty z angielskiego, uprawiały przyszkolny ogródek czy cokolwiek innego. Postanawiasz za pożądane zachowania rozdawać zielone karteczki z twoim autografem. Są kolorowe i ładne, ale oczywiście dostrzegasz, że dzieci opieszale zabierają się do dodatkowej pracy – kto chciałby się wysilać dla zwykłych kartek – olewają je nawet wtedy, kiedy są z twoim podpisem! To co robisz? Modyfikujesz tę procedurę: wprowadzasz obowiązek oddawania kartek na koniec każdego miesiąca, a tych, którzy je zwracają, nagradzasz, przyznając więcej swobód i innych oczekiwanych przyjemności. Sytuacja ulega radykalnej zmianie – dzieci zaczynają je kolekcjonować, bo muszą je oddać. Czyli co się stało? Karteczki cudem zamieniły się w pieniądze – prawdziwą walutę. Wiążąc karteczki z obowiązkiem (i brakiem kary) wprowadziłaś/eś podatek. Nagle te same karteczki stały się cenne, bo każdy zaczął ich potrzebować, aby je zwrócić (uniknąć represji i coś zyskać).

To prosta historia, podobna do tej, którą Jeffery Mosler opowiedział, a Stephanie Kelton przytacza w swoich wykładach i książkach o nowoczesnej teorii monetarnej (MMT). Ten przykład uczy nas zaskakującej prawdy: podatki nadają wartość pieniądzom! Aby pieniądz emitowany przez państwo był realnie używany i powszechnie akceptowany, rząd wymaga, by podatki i opłaty były płacone w tej właśnie walucie. W ten sposób każdy musi ją zdobyć, co zapewnia jej użyteczność.

W duchu tradycyjnej ekonomii uczy się nas, że podatki służą do finansowania wydatków państwa. Ale, jak dowodziłam w poprzednich felietonach, to błędne myślenie. Państwo, które emituje własną suwerenną walutę, może tworzyć pieniądze bez ograniczeń – nie potrzebuje najpierw ściągnąć podatków, by móc potem je wydać. Fundusze państwowe mogą być „wpuszczane" do gospodarki przez rządowe wydatki. A więc państwu nie potrzeba twoich podatków, aby sfinansować wydatki na pomoc społeczną, zbrojenia czy opiekę zdrowotną.

Ale zmartwię cię prawdopodobnie, kiedy przypomnę, że w Polsce to nie takie proste. Mimo że polska złotówka teoretycznie i w myśl Konstytucji RP jest suwerenna, to wprowadzone potem niekonstytucyjne ustawy bardzo tę suwerenność osłabiły. Narodowemu Bankowi Polskiemu – który jest według konstytucji jedynym emitentem naszej waluty – w myśl polskiego prawa nie wolno przekazywać jej rządowi. Rząd może pożyczać pieniądze jedynie od działających w Polsce i za granicą banków i podmiotów komercyjnych oraz od obywateli. Wskutek tego ponosi odpowiednie koszty (odsetki), które jak baloniki z helem unoszą się do góry – czyli w efekcie do tzw. rynków finansowych, u których państwa się zadłużają.

A oto taka ciekawa dygresja: prezesowi NPB Adamowi Glapińskiemu udało się sprytnie ominąć tę barierę. Prezes dokonał tzw. luzowania ilościowego. Było to bezprecedensową operacją w historii polskiej bankowości centralnej. Od marca 2020 r. (krótko po wybuchu pandemii) aż do końca 2021 r. NBP prowadził Strukturalną Operację Otwartego Rynku (SOOR), która polegała na kupowaniu od państwowego Banku Gospodarki Krajowej obligacji emitowanych na rzecz Funduszu Przeciwdziałania COVID-19, oraz obligacji skarbowych i wydanych przez Polski Fundusz Rozwoju (PFR). Taki skup obligacji oznaczał w praktyce stworzenie przez NBP pieniądza z niczego i zasilenie nim polskiej gospodarki. Narodowy Bank Polski stworzył w ten sposób pieniądze o łącznej wartości 144,1 mld zł.

Wymyślony przez Glapińskiego mechanizm pozwolił rządowi na wyprowadzenie ogromnych wydatków „poza budżet", co sprawiło, że dług ten nie był wykazywany w oficjalnym krajowym długu publicznym. Te nowo stworzone złotówki trafiały do Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 (FPC), który został utworzony w państwowym Banku Gospodarstwa Krajowego. W ten sposób faktycznym i prawnym ich dysponentem stał się prezes Rady Ministrów, Mateusz Morawiecki. O przeznaczeniu tej kasy decydowały uchwały Rady Ministrów, czyli de facto premier. Pieniądze te były wydawane m.in. na programy takie jak Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych czy dodatki węglowe, z pominięciem standardowej ścieżki parlamentarnej. Sejm nie miał bezpośredniej kontroli nad tymi wydatkami w formie ustawy budżetowej – co było głównym zarzutem opozycji i Najwyższej Izby Kontroli wobec tego mechanizmu. Jest też głównym zarzutem wobec Glapińskiego, formułowanym we wniosku o postawienie go przed Trybunałem Stanu. Trybunał go – być może – osądzi. Ja uważam, że prawo nie zostało złamane, ale cóż ja mam do gadania... Jedno wiem: ta ekstra kasa przydała się Polsce.

Ale wróćmy do meritum: podatki, które tak lubimy płacić, pełnią w systemie finansowym także inne funkcje.

Przede wszystkim za pośrednictwem podatków rząd kontroluje ilość pieniądza w obiegu, zapobiegając inflacji, która jest ostatecznym kryterium limitu pieniądza. Jak wiemy, inflacja pojawia się wtedy, gdy pieniędzy w gospodarce krąży za dużo – więcej niż dostępnych dóbr i usług. Tu właśnie wchodzą podatki – nie są nośnikiem dochodu dla budżetu, a redukują ilość pieniędzy w obiegu.

Co więcej, poprzez system podatkowy państwo kształtuje zachowania społeczne i gospodarcze: wyższe podatki na paliwa kopalne wspierają ochronę klimatu, a obniżki podatków na innowacje zachęcają do inwestycji etc.

Podatki to także narzędzia redystrybucji bogactwa – i choć w neoliberalnej praktyce często działa ona nie w tym kierunku, w którym powinna, to podatki służą (albo powinny służyć) sprawiedliwości społecznej.

Ważne jednak, żeby wiedzieć i zapamiętać:

podatki nie finansują wydatków państwa – państwo nie musi zebrać podatków, aby móc wydawać pieniądze. To zasadnicza różnica wobec neoliberalnych dogmatów. Wydatki państwowe mogą poprzedzać pobór podatków

– bo państwo jako emitent waluty najpierw wprowadza ją do obiegu, a potem ewentualnie ściąga podatki, aby uniknąć inflacji.

Innymi słowy: podatki są narzędziem polityki gospodarczej, a nie mechanizmem „zbierania pieniędzy na wydatki". Pozwalają państwu regulować ilość pieniędzy w gospodarce, kontrolować inflację oraz kształtować strukturalne kierunki rozwoju społeczno-ekonomicznego.

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

● Gdy lata temu politycy PiS opowiadali o konieczności „wyrwania polskiego srebra rodowego z obcych rąk", a repolonizację Pekao SA przedstawiali jako patriotyczne wskrzeszenie własności narodowej, można było odnieść wrażenie, że już za chwilę każdy klient tego banku dostanie biało-czerwoną kartę kredytową, długopis z orłem i zerowe odsetki. Tymczasem Prezes UOKiK poinformował, że Bank Pekao został zobowiązany do wypłaty rekompensat klientom za opóźnienia w rozpatrywaniu reklamacji. „Praktyka miała charakter systemowy", opóźnienia przekraczały 60 dni, a najdłuższe zajmowały ponad rok. Walnięto ludzi na 100 mln zł. Co ciekawe, aby dostać te pieniądze, każdy wyrolowany musi najpierw potwierdzić wolę ich przyjęcia i podać dane podatkowe, bo nawet w rekompensacie państwo musi mieć swój udział. Biało-czerwony kapitalizm nie znosi próżni. Pekao, jak na bank państwowy przystało, natychmiast ogłosił, że decyzja UOKiK to w zasadzie efekt jego własnego „dobrowolnego zobowiązania". Bank zarzeka się przy tym, że „priorytetem jest jakość obsługi klienta". Gdy bank był włoski, łatwo było mówić, że to obcy wyzyskują Polaków. Gdy bank jest polski, okazuje się, że po prostu robimy to sami. Cała ta sytuacja byłaby śmieszna, gdyby nie fakt, że to wszystko odbywa się w kraju, w którym – jak zapewnia się nas co tydzień – gospodarka ma się świetnie, ratingi są stabilne, a banki notują rekordowe zyski. Może więc repolonizacja rzeczywiście była sukcesem, tylko niekoniecznie dla tych, którzy mieli na niej skorzystać?

● Wśród polskich ministrów panuje moda na zachwycanie się własną gospodarką. Rząd mówi, że jest świetnie, a nawet lepiej niż świetnie. Deficyt mamy podobno taki, że Komisja Europejska nie może się nachwalić, dług pod kontrolą, a agencje ratingowe w ekstazie. A tu Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie celebruje naszej finansowej formy, tylko stwierdza, że należy przyhamować. Pisze: „Zatrzymanie szybkiego wzrostu długu publicznego w Polsce powinno być priorytetem" i że przydałaby się „łączna konsolidacja fiskalna rzędu 4 pkt proc. PKB do 2030 r.". I nie jest to pochwała, ale przypomnienie, że budżet nie jest z gumy, a państwo nie może żyć wiecznie na kredytach, które będą spłacać wnuki obecnych licealistów. MFW dodaje nawet, że przewidziane na 2026 r. niewielkie zaciskanie pasa to tylko „dobry pierwszy krok". Fundusz, jakby tego było mało, wyjaśnia, że nasza obecna fiskalna ścieżka sprowadzi deficyt do 3 proc. PKB i ustabilizuje dług na poziomie około 70 proc. PKB. Różowe opowieści o polskiej gospodarce bledną jeszcze bardziej, gdy MFW przypomina, że w polskim systemie podatkowym PIT generuje o 5 proc. PKB mniej niż średnia w Europie. Znaczy że albo podatki będą musiały wzrosnąć, albo państwo będzie musiało płacić mniej. Ba, MFW wskazuje, że możliwe jest ograniczenie preferencyjnych stawek VAT i że warto spojrzeć na opodatkowanie nieruchomości, szczególnie tych drugich i trzecich. Jest też w raporcie fragment o tym, że polska dezinflacja to w dużej mierze prezent z zagranicy. W uproszczeniu wygląda to tak. Ceny importu spadają, złoty się umacnia, więc inflacja robi się mniejsza. A rząd ogłasza sukces, choć to trochę tak, jakby ktoś pochwalił się, że schudł, bo miał jelitówkę. Efekt może i jest, ale metoda niezbyt zasługująca na medale.

● Nim Nawrocki podpisał ustawę o wyższych podatkach dla banków, te jęły zalewać media krokodylimi łzami. Związek Banków Polskich oświadczył, że podniesienie CIT doprowadzi do katastrofy godnej greckiej tragedii. Według ZBP „o blisko 66 mld zł może zmniejszyć się kapitalizacja banków wskutek trwałego wzrostu stawki CIT" i dalej, że uszczerbek dla skarbu państwa wyniesie 14,4 mld zł, a dla biednych, pokrzywdzonych emerytów i oszczędzających blisko 22 mld zł. Po tym wstępie można wręcz odnieść wrażenie, że jeśli rząd nie zlituje się natychmiast, to w bankach zaczną gotować zupkę z ryżu i rozdawać pracownikom talony na buty. Wedle ustawy CIT ma wzrosnąć do 30 proc. w 2026 r., w kolejnym spaść do 26 proc., a od 2028 r. stabilizować się na 23 proc. Z dzisiejszych 19 proc. wygląda to faktycznie jak podwyżka. Ale skoro banki w zeszłym roku zarobiły 42 mld zł, a prezesi inkasowali po 5, 6 i 7 mln zł rocznie, to trudno uwierzyć, że nagle za 30 proc. podatku będą musieli sprzedawać okna w oddziałach, żeby mieć na wypłaty. Najbardziej dramatycznie brzmią opowieści bankowców o tym, że wyższy CIT sprawi, iż banki będą udzielać mniej kredytów. Według ZBP potencjał kredytowy ma spaść o 125 mld zł w dekadę, co oznacza, że inwestycje prywatne uschną, a przedsiębiorcy będą błagać o pożyczkę jak za czasów kas zapomogowo-pożyczkowych. Problem w tym, że to właśnie banki przez ostatnie lata nie paliły się do kredytowania, bo bardziej opłacało się pakować pieniądze w obligacje, które rząd wypuszczał hurtowo. Wszak od 2020 do połowy 2025 r. banki wpompowały w papiery dłużne aż 795 mld zł, podczas gdy portfel kredytów wzrósł o marne 115 mld. Czyli banki wolą kupować dług państwa, bo wtedy nie płacą podatku bankowego. A sektor realny? A przedsiębiorcy? A kredyty inwestycyjne? Te, jak wynika z raportu, są wypychane z bilansów. I nagle te same banki twierdzą, że wyższy CIT to cios w finansowanie gospodarki. Tyle że każdy, kto ma w Polsce dużo, i tak przekonuje, że jest o krok od bankructwa.

● Kilka dni przed tym, jak GUS ogłosił, że PKB rośnie 3,8 proc., wrzucił dane o płacach w sektorze przedsiębiorstw. Te zaś przemilczano, bo okazały się blade. Wzrost wynagrodzeń spowolnił do 6,6 proc., czyli mniej niż miesiąc temu i znacznie mniej, niż zakładały prognozy. Okazuje się, że statystyki w dół pociągnął sektor publiczny. W górnictwie płace spadły o 1,6 proc. Drugi miesiąc z rzędu. W energetyce wzrost wyniósł symboliczne 1,3 proc., czyli właściwie nic. W transporcie i magazynowaniu raptem 2,4 proc. Dopiero w sektorach bardziej rynkowych nadal kręci się koło 7–9 proc., ale bez oznak rozpędzania się. GUS policzył też realną dynamikę płac. Spadła do 3,8 proc. A to już poziom równy realnemu wzrostowi PKB. Wzrost płac przestaje cokolwiek napędzać, zwłaszcza inflację. I właśnie dlatego ekonomiści mówią, że ostatni powidok inflacyjnej górki z 2023 r. w usługach powinien wreszcie zniknąć. Najbardziej w tym wszystkim bawi, że w czasie, kiedy GUS pokazuje spadające tempo wzrostu płac, na ulicach protestują pracownicy. W Kauflandzie, w Valeo i w wielu innych miejscach ludzie noszą transparenty, bo ich pensje przestały nadążać za cenami, a firmy tłumaczą się kosztami, kryzysem i koniecznością „optymalizacji". Rząd natomiast powtarza mantrę o miliardach z KPO, które mają wszystko odmienić. Pytanie tylko, co mają odmienić, skoro trend jest jasny: hamowanie płac.

● W bankowości ogłoszono, że pora rozstać się z WIBOR-em i przejść na POLSTR. Oficjalnie po to, żeby było przejrzyście. Nieoficjalnie – żeby ratować własny tyłek przed pozwami, które do sądów wpływają już w ilościach hurtowych. Bo WIBOR, jak wiadomo, był dotąd wskaźnikiem tak tajemniczym, że jego genezę można by wytłumaczyć tylko na tablicy spirytystycznej. Ustalany przez banki na podstawie czegoś, co banki uznają za właściwe, a czego nie rozumie nikt poza bankami. Nic dziwnego, że kredytobiorcy pytali, skąd dany wskaźnik bierze się w ich umowach, a banki odpowiadały, że z rynku. Z jakiego rynku – tego już nie mówiły. W efekcie sądy zaczęły mieć déjà vu z czasów kredytów frankowych, a TSUE nerwicę. W tej atmosferze banki postanowiły przesiąść się na POLSTR. Ten zaś wskaźnik patrzy w przeszłość – WIBOR patrzył w przyszłość. Wzrosną stopy NBP – POLSTR łaskawie raczy to zauważyć trochę później. Spadną stopy NBP– POLSTR będzie udawał, że nic nie widzi, dopóki nie sprawdzi, co działo się przez ostatnie miesiące. W efekcie w POLSTR potrafi być niższy od WIBOR-u, ale tylko minimalnie i tylko, gdy stopy są stabilne. W innych okresach POLSTR okazuje się już skrupulatniejszy niż fiskus i potrafi być wyższy, szczególnie w wersjach kwartalnej i półrocznej. Mówiąc prościej – nowy wskaźnik robi wszystko, żeby przypadkiem ktoś nie pomyślał, że zamiana przyniesie jakąkolwiek ulgę kredytobiorcom.

TTJ

Rys. WIDGET

eprasa.pl b688b282cd

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nabici w butelki

Gra za niemal 40 mld zł

Wprowadziliśmy system kaucyjny – rozwiązanie, które miało ratować planetę, a w praktyce uruchomiło festiwal kosztów, niejasności i zysków dla nielicznych. Zamiast wielorybów zyskujących czystsze oceany, zyskali operatorzy, koncerny i sieci handlowe. Zamiast korzyści klimatycznych – nowa danina skrzętnie opakowana w zieloną retorykę.

Flaszka ścisłego zarachowania

Od momentu, gdy klient sięga po butelkę w sklepie, rozpoczyna się wieloetapowy, biurokratyczno-logistyczny teatr obiegu pieniądza. Napój został opatrzony dodatkowym ciężarem – kaucją. Pięćdziesiąt groszy za butelkę PET albo puszkę, złotówka za szkło wielokrotnego użytku. Na paragonie kwota ta figuruje osobno, jako nowy byt. I choć powraca do klienta, to jedynie wtedy, gdy ten wróci z pustym opakowaniem. Gdy nie wróci – kaucja zostaje w systemie. Tyle że to sklep – nie producent i nie operator – jest ogniwem najbliższym ciału, czyli klientowi. Sklep ma obowiązek pobrać, przechować, przyjąć z powrotem, wypłacić i rozliczyć.

System przewiduje, że wszystko się zbilansuje. Że butelka wróci. Że klient się pofatyguje. Że sklep będzie gotowy. I że operator wszystko zaewidencjonuje. A gdyby się nie udało – nie szkodzi. Pieniądz zostaje. Ale nie w sklepie. Nie wraca też do klienta. Zatrzymuje go operator. I to właśnie od tej „zatrzymanej" kaucji musi zapłacić VAT. Bo w tym momencie kaucja staje się częścią ceny – nie za napój, lecz za niewrócone opakowanie. Zyskuje status sprzedaży, którą fiskus oczywiście opodatkowuje.

Koszty dla sieci handlowych idą w miliony, dla pojedynczego sklepu – w dziesiątki tysięcy złotych. Sam butelkomat, zależnie od modelu, kosztuje od 15 do 60 tys. zł. Do tego magazyn – miejsce, gdzie butelki muszą leżeć, zanim operator je odbierze. W sklepie oznacza to często konieczność wygospodarowania kilku metrów kwadratowych kosztem towaru. Tam, gdzie wcześniej stały regały z kawą, teraz muszą stać worki z pustymi butelkami. Do tego dochodzą pojemniki, oznaczenia i sprzęt do ewidencji. I człowiek. Bo przecież nie zrobi się samo.

Każda butelka oddana w sklepie to kilka minut pracy więcej. Trzeba ją przyjąć, obejrzeć, zeskanować, wprowadzić do systemu, czasem wytłumaczyć klientowi, dlaczego ta akurat się nie kwalifikuje. Na końcu wypłacić gotówkę lub odliczyć kwotę od zakupów. Jeśli sklep przyjmuje kilkaset opakowań dziennie, to mamy godziny pracy, których wcześniej nie było. W dużych placówkach nawet kilka dodatkowych etatów. W mniejszych – przeciążenie personelu.

Nowy obowiązek nie przynosi sklepowi przychodu. Przynosi koszty. Do tego dochodzą raporty do operatora, regularne przekazywanie danych, uzgadnianie zwrotów, odbiór opakowań, podpisy, ewidencje. Gdy opakowanie trafi do sklepu innego niż ten, w którym je zakupiono, rozlicza się to między operatorami. Ale sklep musi to wszystko zarejestrować, obsłużyć i przekazać. Za darmo. Bez prowizji. Bo tak nakazuje ustawa.

Krupierzy

Kiedy ustawodawca ogłaszał nadejście systemu kaucyjnego, dominował język ekologii – że to konieczne, że czas najwyższy, że dzieci będą miały czystsze lasy. Umykało uwadze – że oto właśnie zaczyna się gra o wielkie pieniądze. Bo to nie państwo stworzyło ten system. To firmy. I nie jedna, nie dwie, ale mnóstwo, które na przestrzeni miesięcy powołały do życia własnych operatorów, uzyskały zezwolenia i ustawiły się w kolejce do obsługi miliardów złotych, które będą krążyć między klientem, sklepem, producentem, recyklerem i skarbem państwa.

Operatorzy – siedmiu głównych graczy, każdy z osobnym zapleczem, strategią, siecią kontaktów. Największy? Kaucja.pl – projekt tuzina gigantów branży napojowej: Coca-Cola, Maspex, Nestlé, Pepsi, Red Bull, Żywiec Zdrój. Ramię zbrojne tych, którzy przez lata żyli z butelki. Inni? PolKa – mniejsi producenci wód mineralnych, tacy jak Muszynianka czy Piwniczanka. OK Operator – spółka powołana przez Lidl i Kaufland. Do tego: Zwrotka, EKO-OPERATOR, Reselekt – firmy wywodzące się z sektora odpadowego.

Zamiast jednego państwowego operatora mamy siedem równoległych bytów – każdy z własną siecią interesów. Wszystkie oficjalnie działają w interesie środowiska, ale każdy z nich ma bardzo jasno zdefiniowane interesy własne.

Całość układa się w misterną strukturę, w której najwięcej zarabiają ci, którzy zainwestowali w butelki – nie ci, którzy piją, nie ci, którzy je sprzedają, nie ci, którzy oddają. Konsumenci zaś... płacą. Napój, który kiedyś kosztował 6,65 zł, dziś kosztuje 7,50 zł. Kaucja podniosła jego cenę nie o 50 groszy, ale o 85.

A środowisko? Raporty mówią, że system może podnieść poziom recyklingu o 0,2–0,4 punktu procentowego. Czyli symbolicznie. Efekt ekologiczny – marginalny. Efekt fiskalny – potężny. Wydatki? 37 mld zł w ciągu dekady.

Gminy? Tracą. Bo opakowania, które wcześniej były ich źródłem dochodu, odpływają do systemu kaucyjnego. To znaczy: mniej surowców, mniej wpływów, większe ryzyko podniesienia opłat za śmiecie. Mieszkaniec płaci więcej – za napój, za śmiecie (mimo że wyrzuca ich mniej), za obsługę całej operacji.

A klimat? Polska bez żadnego systemu kaucyjnego poprawiła wyniki recyklingu bardziej niż Niemcy czy Dania. Statystyczny Polak wyrzuca na wysypisko mniej śmieci opakowaniowych niż przeciętny Niemiec czy Duńczyk.

Promile recyklingu

Po miesiącu funkcjonowania kaucji wiceprezes spółki Zwrotka z niekłamaną dumą informował media, że system „rozwija się zgodnie z planem – stopniowo i w sposób kontrolowany". Butelki pojawiają się w automatach. Raczej w sztukach niż tysiącach. Ale nie ma się czym przejmować, bo – jak zapewnia – „to naturalne". Naturalne, że po roku przygotowań, dziesiątkach spotkań i milionach złotych wydanych na butelkomaty w systemie mamy mniej kaucji niż w szufladzie przeciętnego kioskarza po godzinie sprzedaży.

To, że klient nie ma pojęcia, czy kupuje butelkę z kaucją, czy bez, też nie stanowi problemu. Mamy przecież „okres przejściowy" – ten magiczny czas, w którym wszystko może być byle jakie, bo w przyszłości będzie porządne. Na półkach stoją obok siebie napoje w opakowaniach kaucyjnych i niekaucyjnych, etykiety są nieczytelne, automaty odrzucają co drugą butelkę, a klienci – jak to klienci – pytają i przeklinają. Ale wszystko „przebiega zgodnie z założeniami".

Na koniec roku udział butelek z kaucją w rynku wyniesie „kilka procent". I to nie dlatego, że coś poszło nie tak. Przeciwnie – taki był plan.

Bo plan zakładał wdrożenie systemu, który przez półtora roku będzie udawał, że działa. I nikt nie zapyta, dlaczego po wydaniu miliardów, uruchomieniu centrów sortujących i wstawieniu maszyn do sklepów nadal nie wiadomo, co właściwie objęto kaucją.

Wysokość kar dla producentów, którzy nie przystąpią do systemu lub nie osiągną wymaganych poziomów odzysku? Żadna, bo termin przystąpienia producentów jest płynny.

W ten sposób system, który miał być obowiązkowy, jest dobrowolny. Kary, które miały być straszakiem, są mglistą obietnicą. A całość przypomina bardziej zbiór pobożnych życzeń niż realny mechanizm egzekwowania czegokolwiek. Producent może wprowadzać napoje bez kaucji do końca grudnia. A po 1 stycznia? Dalej może je sprzedawać. Byle nie wprowadzał nowych.

Po miesiącu działają już centra przetwarzania, z których każde jest zdolne do przetwarzania 35 tys. opakowań na godzinę. Roczna przepustowość: 250 mln. Koszt: 20 mln zł. Potężne inwestycje. Po dwóch miesiącach działania systemu wykorzystane w promilu. Jakby otworzyć lotnisko i zapomnieć zaprosić samoloty.

Bo z danych wynika, że kaucjonowanych opakowań na rynku wciąż jest jak na lekarstwo. Ba, w drugiej połowie listopada niektóre sieci – jak Lidl – nadal skupowały opakowania bez obowiązku kaucji. W zamian za plastikowe butelki PET i puszki bez oznaczeń oferowano po 10 groszy w formie kuponu.

A Lidl deklaruje posiadanie ponad 950 butelkomatów. I tylko Lidl wprost przyznaje, że większy ruch notuje nie w ramach systemu, lecz swojej akcji promocyjnej.

W efekcie kaucjonowane butelki są dziś rzadkością. Na półkach dominują opakowania nieoznaczone – bo producenci wciąż wyprzedają zapasy. Zaś producenci wykazali się kreatywnością. Carlsberg, a za nim Grupa Żywiec, skutecznie lobbowały o wyłączenie butelek szklanych zwrotnych z nowego systemu. Udało się. Carlsberg już dziś zbiera ponad 90 proc. swoich butelek poprzez własny, stary system. Urzędnicy to uznali. Firma nie musi więc zmieniać etykiet, nie musi doliczać nowych kaucji, nie musi wdrażać procedur.

Kaucja więc jest, ale bez sensu. System działa, ale tylko na papierze. Przepisy obowiązują, ale każdy je interpretuje po swojemu. A urzędnicy zapewniają, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Bo wydane na to miliardy ktoś przecież przytulił.

TOMASZ BOROWIECKI

Chorzy – do boju!

Gdy rządzący głodzą szpitale, tylko pacjenci mogą uratować powszechną ochronę zdrowia.

O tym, że pod koniec roku zabraknie pieniędzy na funkcjonowanie ochrony zdrowia, wiedzieli wszyscy. Marcelina Zawisza, posłanka Partii Razem, powtarzała to tak regularnie, że mogłaby mieć w sejmie własny przycisk „odtwórz komunikat o brakach w budżecie zdrowia" – i wszyscy wiedzieliby, o co chodzi, zanim jeszcze zdążyłaby otworzyć japsko. Ale rząd wolał udawać, że to tylko czarnowidztwo lewicy, dopóki rzeczywistość nie zapukała do drzwi z rachunkiem.

To nie jest żadna katastrofa, która spadła z nieba jak meteoryt w Czelabińsku, tylko efekt naszego narodowego sportu: konsekwentnego głodzenia systemu ochrony zdrowia. Słynne 7 proc. PKB miało być biletem do europejskiej normalności. Politycy świętowali to jak eradykację wszystkich chorób cywilizacyjnych czy choćby wynalezienie leku na raka. Ustawę tak zmanipulowano, aby procent od PKB liczyć na podstawie wartości sprzed dwóch lat. Nakłady więc co prawda wzrosły, ale za mało. Gdyby liczyć wydatki na lecznictwo tak jak na wojsko – czyli według prognoz bieżącego roku – dziury w NFZ w tej chwili by nie było.

Dla porównania: w większości krajów Unii wydatki na ochronę zdrowia wynoszą między 9 i 12 proc. PKB. W Niemczech i Francji to ponad 11 proc., w Szwecji blisko 10 proc. Tymczasem my wciąż próbujemy utrzymać system na taśmie klejącej i nadziei, że jakoś to będzie. Na niedofinansowanej ochronie zdrowia zyskują przede wszystkim ci, którzy sprzedają nadzieję w postaci prywatnych wizyt, cudownych suplementów i dodatkowych ubezpieczeń. Pacjenci zostają z ręką w nocniku, a prywatne kliniki i apteki liczą zyski, podczas gdy publiczny system ledwo zipie, kolejki rosną, a ludzie czekają miesiącami na podstawową opiekę.

Odsyłanie pacjentów zaczyna przypominać grę w chińczyka. Z tym że tutaj każdy pionek to człowiek, który naprawdę potrzebuje pomocy. Prawdziwa reforma nie przyjdzie z kolejnej „strategii", „koła ratunkowego" czy „kompleksowego planu poprawy dostępności", które rząd wypuszcza podczas konferencji prasowej w godzinach największej oglądalności. To wszystko służy tylko temu, by wyglądało, że coś ruszyło – najlepiej na slajdzie.

W efekcie system jest tak przepchany, że wkrótce zamiast do specjalisty będziemy dzwonić do wróżki. A i ona powie: „Widzę w kartach, że będzie pan czekał do przyszłej jesieni". Kolejki rosną, oddziały zamykają się jeden po drugim, a na SOR-ach rozgrywają się dantejskie sceny – pacjenci leżą na korytarzach, pielęgniarki biegną od łóżka do łóżka, a lekarze próbują ratować sytuację z rękami związanymi biurokracją.

Jedynym realnym rozwiązaniem jest podniesienie finansowania ochrony zdrowia do minimum 8 proc. PKB. I to nie w 2035 r., nie „docelowo", nie „w perspektywie wieloletniej", tylko teraz.

Ten prosty fakt znają wszyscy: lekarze, pielęgniarki, ekonomiści, a nawet część polityków.

A teraz najważniejsze: to nie politycy wywalczą te 8 proc. To mogą zrobić tylko pacjenci. Tak, my. Ci sami, których system traktuje jak przesyłki w sortowni, przerzucając z rejestracji do gabinetu i z powrotem. Historia polskiej ochrony zdrowia jest brutalnie prosta: nic się w niej nie zmieniło bez protestów. Rezydenci – wyszli na ulicę. Ratownicy – wyszli. Pielęgniarki – wyszły. I dopiero wtedy rząd łaskawie zauważał, że istnieje jakaś „sytuacja".

Pacjenci mają realną moc. Gdyby tłum stanął pod Ministerstwem Zdrowia, skandując, że ma dość leczenia się w Google'u – nagle znalazłyby się pieniądze, które dotychczas nie istniały. Bo żadna władza, nawet najbardziej odporny na wstyd rząd, nie może sobie pozwolić na zignorowanie obywateli, którzy zrozumieli, że chorowanie nie jest ich winą ani fanaberią.

Jeśli chcemy skończyć z dziurą w NFZ, musimy przestać wierzyć, że ktoś za nas to naprawi. System nie pękł, bo Polacy za dużo chorują. System pękł, bo od lat finansuje się go jak hobbystyczne koło modelarskie.

A więc: 8 proc. PKB. Nie jako postulat związków, nie jako marzenie ekonomistów. Jako żądanie pacjentów, którzy mają pełne prawo oczekiwać, że państwo nie odeśle ich z kwitkiem. Bo jeśli pacjenci nie zawalczą, to politycy zrobią to, co potrafią najlepiej.

Czyli absolutnie nic.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl b688b282cd

GADMAN

PRAWDZIWIE POLSKIE SMAKI

Są dwa kraje na świecie, gdzie knajp wietnamskich jest więcej niż chińskich: Polska i Wietnam.

W czerwcu 1989 r. skończył się w Polsce „komunizm". A od 1990 r. ściskać zaczęła nas niewidzialna ręka wolnego rynku. Ta od terapii szokowej Balcerowicza.

Ściskała totalnie. Stoczniowców, włókniarki, PGR-wców, dziennikarzy i tramwajarzy. Nawet żyjący w Polsce wietnamscy studenci wpadli w jej łapy.

W czasie wojny z USA o niepodległość i zjednoczenie Wietnamu młodzi, zdolni Wietnamczycy byli wysyłani na zagraniczne studia.

Bo nawet w czasie wojennej zawieruchy wietnamskie elity polityczne projektowały przyszłość powojenną. Myślały o tworzeniu kadr na pierwsze lata pokoju, odbudowy.

Tradycyjny wietnamski pragmatyzm sprawiał, że na studia zagraniczne wysyłano także tych najzdolniejszych uczniów. Nie tylko tych z elit władzy.

Jeśli wtedy wygrywałeś szkolne konkursy wiedzy, to mogłeś być dostrzeżony i wytypowany do puli kandydatów. Taka szansa na wyrwanie się z biednego, niszczonego wojną kraju dodatkowo mobilizowała uczniów do nauki.

Wtedy mogli oni studiować jedynie w ZSRR i państwach bratniej wspólnoty socjalistycznej. Wytypowani na studia wpierw przechodzili cykl szkoleń.

W tym czasie ich rodziny składały się na ekwipunek dla wyróżnionego krewniaka. Zdobywano mu odpowiednią walizkę, szyto ubrania, przygotowywano wałówkę na drogę. Wtedy podróżowali oni koleją przez Chiny i ZSRR. Czasem nawet przez dwa tygodnie.

Kandydujący na studia do ostatnich dni nie wiedzieli, w którym z „bratnich krajów" wylądują. Często stację docelową poznawali z chwilą otrzymania biletu.

Dlatego wśród ówczesnych kandydatów krążyła oparta na doświadczeniach starszych kolegów przepowiednia. Jeśli wyślą cię na studia do Moskwy, to pewnie zrobisz karierę polityczną. Jeśli skierują cię do NRD, zaczniesz robić karierę naukową. A jeśli trafisz do Polski, to spędzisz tam wesołą, nieskrępowaną młodość.

Ach, ta Ba Lan

Nie spotkałem ścisłych danych sumujących wszystkich studiujących w naszym kraju Wietnamczyków. Spotkałem za to – 20 lat temu, kiedy byłem przewodniczącym parlamentarnej grupy polsko-wietnamskiej – pięcioosobowy zarząd stoczni w Ha Long. Cały złożony z absolwentów Politechniki Gdańskiej.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wszyscy mówili znakomicie po polsku. Nie zapomnieli naszej mowy, bo dalej była im przydatna w pracy zawodowej. Kiedy w czasie negocjacji przy stole z klientami z Korei, Francji czy Singapuru musieli ustalić między sobą ostateczną cenę kontraktu, to uzgadniali ją po polsku.

Ich partnerzy handlowi zwykle mieli po swojej stronie osoby rozumiejące wietnamski, ale kryjące się z tym. Dlatego po polsku wietnamski zarząd mógł rozmawiać ze sobą skutecznie i bezpiecznie.

W wietnamskich stoczniach spotykałem też techników i robotników, którzy przeszli szkolenia w polskich stoczniach. Wielu z nich rozumiało polską mowę. Bez trudu porozumiewałem się tam z emerytowanymi Polakami, inżynierami polskich, zlikwidowanych po 1990 r. stoczni. Byli tam na twórczej emeryturze. Korzystali z uroków bogacącego się Wietnamu.

W Wietnamie spotkałem też wietnamskich absolwentów Politechniki Gliwickiej, którzy byli prezesami i dyrektorami wietnamskich koncernów węglowych. Mieli opinię znakomitych fachowców.

Trzon liczącego ponad 4,5 tys. członków Towarzystwa Przyjaźni Wietnamsko-Polskiej, partnera polskiego Stowarzyszenia Przyjaźni Polsko-Wietnamskiej „Przyszłość", stanowią absolwenci polskich uczelni. Profesorowie, byli ministrowie, dyrektorzy i prezesi. Najsławniejszym jest były prezydent Hanoi, absolwent Politechniki Krakowskiej dr Nguyen The Thao. Liczna grupa absolwentów krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej była i jest tak aktywna w Wietnamie, że do dzisiaj żartobliwie, acz też z szacunkiem, zwie się ją mafią AGH.

Kiedy w Polsce przyszedł rok 1990, kiedy upadł ZSRR i wspólnota państw socjalistycznych, grono studiujących i czasowo mieszkających w Polsce Wietnamczyków musiało szukać sobie nowych zajęć i zawodów. Bo ich wysychające stypendia dodatkowo zżerała inflacja.

Wtedy doktorzy, magistrowie nauk technicznych, matematycznych, chemicznych, poloniści wzięli się do handlu, jak wielu ówczesnych Polaków.

Stereotypowy Wietnamczyk to jednocześnie firma. Biznes mały, własny, rodzinny. Współczesna gospodarka Wietnamu bazuje na milionach małych i średnich przedsiębiorstw. Wspierają one duże, skomercjalizowane państwowe koncerny. I powstające coraz częściej duże firmy prywatne.

W Warszawie początkowo powstały dwa słynne centra wietnamskiego handlu. Hurtowe w Wólce Kosowskiej i detaliczne na nieistniejącym już Stadionie X-lecia. Zwanym dumnie Jarmark Europa.

Tam to w Polsce – po wietnamsku Ba Lan – zagościli na stale Wietnamczycy.

Zupa z rana

Aby w Polsce przeżyć, zaczęli też Wietnamczycy otwierać bary z wietnamską kuchnią. Prawie wietnamską, bo musieli przetłumaczyć ją na polskie smaki i dostępne wtedy w naszym kraju produkty.

Wtedy też pokazali Polakom, jak można gotować szybko, smacznie, pożywnie i tanio. W ciągu już 35 lat tego wietnamskiego gotowania na tym jedzeniu wychowały się całe pokolenia Polaków, zwłaszcza studentów.

Zauważcie, że wietnamskie bary i knajpki znajdziemy już w każdym polskim miasteczku.

To wietnamskie knajpy nauczyły Polaków azjatyckich smaków. Nie tylko wietnamskich, także chińskich i tajskich. Wcześniej azjatyckich restauracji w Polsce prawie nie było. Teraz są dwa kraje na świecie, gdzie więcej jest restauracji wietnamskich niż chińskich. Polska i Wietnam.

Polacy pokochali już dania wietnamskie. Dwa z nich stały się kultowymi.

Powszechnie znaną wietnamsko-polską potrawą jest zupa pho.

Wymawia się jak „foo". Będąc w Wietnamie, trzeba uważać na tony wymowy, bo po wietnamsku pho może znaczyć też ulicę, a w slangu młodą dziewczynę lekkich obyczajów.

Zupa pho znana na całym świecie. Dziś Wietnamczycy traktują ją jako swe dziedzictwo kulturowe. Karierę zaczynała jako rosół biedaków. Gotowany na wołowych lub kurzych oskrobanych z mięsa kościach. Dodawano do niej makaron ryżowy, zwany pho, i wszystko, co się w domu znalazło. Taka zupa z wkładką.

W Wietnamie je się ją na obiad, ale i na śniadanie, i na kolację też. Rano daje energię, w południe – bo w Wietnamie obiad jest o dwunastej – wzmacnia na resztę dnia, a wieczorem wzmacnia na noc.

Dziś w Wietnamie zjemy przeróżne warianty pho. Od tej klasycznej z wołowiną, serwowanej na ulicach Hanoi, ulubionej przez polskich artystów, po wykwintne warianty z przeróżnymi dodatkami oferowane przez szpanerskie restauracje. W Polsce nietrudno o knajpy serwujące taką zupę. Jedne mają smak bardziej wietnamski, inne są bliższe polskich.

Zupę pho wylansowała w naszym kraju pod koniec XX w. młódź melanżująca. Po nocnych klubowych uciechach jeździła o czwartej rano na otwierające się wtedy wietnamskie bazary, zwłaszcza ten przy Jarmarku Europa. I w bazarowych barach opychała się prawdziwą – bo gotowaną dla wietnamskiego ludu pracującego – zupą. Świetną też na kaca.

W Paryżu kiedyś jeździło się po nocnych imprezach do Hal na zupę cebulową. W Warszawie, zwanej Paryżem Wschodu, modna była bazarowa pho o poranku.

Dziś pho jest u nas tak powszechnie znana, że nawet powstał polski film „Smak pho" o kulturowych relacjach polsko-wietnamskich. Wyreżyserowany przez absolwentkę łódzkiej szkoły filmowej Japonkę Mariko Bobrik.

Ach, te Sajgonki

Zupę pho bez trudu znajdziecie w Wietnamie. Ale nie pytajcie tam o powszechnie znane nam sajgonki.

W Wietnamie nazywają się nem. Są popularnym daniem północnego Wietnamu, regionu Hanoi. Na południu, w dawnym Sajgonie, można spotkać tamtejszą wersję nem. Ale nie jest to danie typowe dla tego regionu.

Jednak wietnamscy gastronomicy słusznie przewidzieli, że te ryżowe naleśniki strawniejsze będą dla polskich konsumentów pod nazwą sajgonek.

Znali świetnie polską mowę i wyczuli, że zapisane w menu nem nie zachęcą Polaków do ich jedzenia. Hanojki też nie zabrzmią egzotycznie. Słyszeli zapewne popularne wtedy wśród polskiej młodzieży określenie „Ale Sajgon!". Synonim egzotycznej balangi.

I tak sajgonki stały się częścią mowy i kuchni polskiej. Jak kołduny litewskie, karp po żydowsku, barszcz ukraiński.

Co ciekawe, te wietnamskie sajgonki stały się jednym z dań serwowanych podczas oficjalnych przyjęć w ambasadzie Chin w Warszawie.

Dlatego przypomnę, że autorem tej polskiej nazwy nem jest Dung Hai Hau, dawny student geochemii na Uniwersytecie Warszawskim.

Dziś Wietnamczycy są częścią naszej wspólnej Polski. Pracowici, lojalni wobec władz, jeszcze trochę egzotyczni, ale już swoi. Wielu z nich posiada polskie wykształcenie i obywatelstwo.

Kiedy będziecie czytać ten felieton, wspominać wietnamskie dania, będę w Hanoi promował najnowsze polskie filmy. Wśród nich „Entropię", wyreżyserowaną przez Annę Fam-Rieskaniemi. O życiu polskich Wietnamczyków.

Będę promował Polskę, która jest też dla Polaków wietnamskiego pochodzenia.

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ To nie jest rubryka z nekrologami, ale tym razem zrobimy wyjątek. Ledwo w 2025 r. znalazł się na 22. miejscu listy najbogatszych Polaków Forbesa, a dziś już nie żyje – Leszek Gierszewski, założyciel i prezes Drutexu. Firmy, której nazwa od zawsze była zaprzeczeniem wszystkich podręcznikowych zasad marketingu. Bo jak tu robić karierę w branży okien i drzwi, kiedy szeroka publiczność uparcie kojarzy twoją markę albo z prezerwatywami Durex, albo w najlepszym razie z produkcją drutu? A jednak Drutex zrobił furorę właśnie w oknach, zostawiając konkurencję daleko w tyle. Pointa, której nie da się pominąć: firma, która nie brzmi jak firma od okien, okazała się najbardziej rozpoznawalną firmą od okien. Paradoks powinien być wykładany na zajęciach z marketingu.

▮ Do końca 2025 r. w wielu polskich szpitalach czasowo zamykane będą oddziały, przede wszystkim położniczo-ginekologiczne. Wszystko przez to, że dzieci rodzi się coraz mniej, a szpitale tracą coraz więcej. Taka demograficzno-księgowa spirala, w której personel gotów jest do akcji, tylko… akcji brak. Ministerstwo Zdrowia ogłosiło więc pomysł na miarę naszych czasów: punkty rodzenia przy SOR-ach i izbach przyjęć. Rodząca przychodzi, położna patrzy i decyduje „urodzimy", albo „proszę do specjalistycznego, ale szybko". Zamknięcia dotyczą województw podkarpackiego, łódzkiego, wielkopolskiego i podlaskiego. Czy likwidacja porodówek i porody na SOR-ach pogłębią lukę demograficzną, czy może wręcz przeciwnie – tu już każdy musi zgadnąć na własną odpowiedzialność.

▮ W Hucie Stalowa Wola uroczyście przekazano pierwsze 15 seryjnych Borsuków (wozy piechoty) z marcowej umowy. Pojadą do 15. Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Państwo zamówiło łącznie 111 sztuk do 2029 r. Wartość kontraktu to 6,5 mld zł, czyli jakieś 59–60 mln za jednego pancernika na gąsienicach. Jeżeli ktoś się zastanawiał, dlaczego zamykają porodówki, to odpowiedź stoi na placu HSW, błyszczy farbą i waży 28 ton. W obecnej europejskiej polityce „pokojowej" można za to śmiało prognozować dynamiczny rozwój branży funeralnej. W końcu jakiś sektor gospodarki zawsze musi rosnąć.

▮ W Areszcie Śledczym w Zielonej Górze osadzony próbował uciec. Wydostał się na dach przez wybity otwór w stropodachu i próbował przedostać się na inny budynek, używając prowizorycznej liny. Spadł z dużej wysokości. W stanie krytycznym trafił do szpitala, z licznymi obrażeniami i wychłodzeniem. Jeszcze żyje. Sprawę bada zespół powołany przez dyrektora generalnego Służby Więziennej. No cóż – człowiek, który gotów jest zaryzykować życie w imię wolności, to taki polski romantyk penitencjarny: wielkie ideały, zero kalkulacji i tragiczny finał spadający z nieba.

▮ 48-letnia sprzątaczka przez siedem miesięcy opróżniała sejf pracodawcy, wyniosła w sumie 200 tys. zł. Wpadła po ostatniej kradzieży. Przy sobie miała 3050 euro, resztę znaleziono w jej mieszkaniu. Usłyszała 23 zarzuty, grozi jej 10 lat więzienia. Sprawę prowadzi policja w Koluszkach pod nadzorem prokuratury w Piotrkowie. Prokuratura jednak nie wyjaśnia dwóch kluczowych zagadek: co to był za sejf, który otwiera nawet sprzątaczka, oraz jak to możliwe, że przez siedem miesięcy nikt nie zauważył braków. Być może po to, by nie podsuwać innym sprzątaczkom „twórczych pomysłów".

▮ 37-letni policjant z Komendy Miejskiej w Tarnowie tak bardzo zżył się ze światem przestępczym, że w końcu stał się jego pełnoprawnym członkiem. Został aresztowany i usłyszał ponad 40 zarzutów. Włamania do automatów w myjniach samochodowych w Małopolsce, na Podkarpaciu i w woj. świętokrzyskim. Podczas próby zatrzymania w nocy zaatakował gazem pieprzowym interweniującego kolegę po fachu, który ośmielił się wykonywać policyjną robotę, zamiast włamywać się do maszyn z bilonem. Funkcjonariusza wydalono ze służby, a teraz grozi mu 10 lat pierdla. Cóż, stajesz się tym, z kim walczysz. Psychologia zna takie przypadki, historia również. Towarzysz Stalin tak długo walczył z caratem, że sam wyrósł na jednego z najtwardszych „carów" swoich czasów. Tarnowski policjant poszedł tą samą ścieżką, tylko skala… trochę mniej imperialna.

Rys. WIDGET

▮ Jak podała Komenda Miejska Policji w Płocku, z jednej z restauracji uprowadzono goryla. Co prawda plastikowego, ale za to wartego 3 tys. zł. Policjanci przeanalizowali monitoring, tropy i intuicję detektywistyczną, po czym odnaleźli goryla w powiecie kutnowskim. Całego, zdrowego i w nienaruszonym stanie, choć nieco zdezorientowanego zmianą środowiska. Sprawcą okazał się 28-latek, który usłyszał zarzut kradzieży. Goryl wrócił już do restauracji, a w Płocku znów można odetchnąć. Choć, przyznać trzeba, odkąd nie ma tam Obajtka, jest trochę nudniej. A przecież on akurat nigdy goryli nie kradł.

▮ Skierniewice karzą płacić mieszkańcom podatek za miłość do czworonogów. Radni w swej nieomylnej mądrości postanowili przywrócić podatek od psów w wysokości 35 zł rocznie. Większość gmin w Polsce zrezygnowała z tej archaicznej opłaty, ale Skierniewice postanowiły płynąć pod prąd. Gdyby wszystkie samorządy nałożyły podatek na psy, do budżetów wpłynęłoby 280 mln zł rocznie. Ale... pieniądze szczęścia nie dają, ale psy już tak.

RJ

PS Doniesienia pochodzą z prasy terenowej. Zastrzegamy, że nie ponosimy odpowiedzialności za ewentualne nieścisłości lub omyłki, które mogły przytrafić się kolegom z lokalnych redakcji w toku – w naszym przekonaniu – rzetelnie wykonywanych czynności dziennikarskich. Wszelkie konsekwencje prawne wynikające z ewentualnego fałszu pozostają poza zakresem naszej odpowiedzialności.

eprasa.pl b688b282cd

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ekwador nie chce jankesów

Klęska neoliberałów w narodowym referendum

W połowie listopada obywatele Ekwadoru odpowiedzieli cztery razy „nie” prezydentowi, wybranemu – ponownie – zaledwie w kwietniu tego roku. Prezydent Daniel Noboa – najbogatszy ekwadorski oligarcha, dziedzic bananowej fortuny z majątkiem wycenianym na ponad miliard dolarów – sformułował trzy pytania referendalne i jedno konsultacyjne. Chciał ponownego otwarcia zagranicznych baz wojskowych w kraju, zmiany zasad finansowania partii politycznych, zmniejszenia parlamentu, a także rozpoczęcia prac nad nową konstytucją. Poniósł niespodziewaną i znaczącą klęskę, która będzie miała reperkusje daleko poza jego krajem.

60 proc. obywateli odrzuciło propozycję zmiany konstytucji, która usunęłaby zakaz umieszczania obcych – czytaj: amerykańskich – baz wojskowych na terytorium Ekwadoru.

Inicjatywa ta była częścią szerszej strategii proponowanej przez Noboę współpracy przeciwko Kubie, Nikaragui i Wenezueli.

Plan Daniela Noboi, przyjaciela Donalda Trumpa, miał umożliwić armii USA budowę instalacji morskich na wyspie Baltra w słynnym z unikalnej przyrody archipelagu Galapagos. Baza – wedle deklaracji – miałaby służyć do walki z przemytnikami narkotyków. Po ostrych sprzeciwach w kraju Noboa zaproponował alternatywę w postaci baz nadmorskich Manta lub Salinas. Przed referendum Ekwador odwiedziła sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego USA Kristi Noem, która w iście kolonialnym stylu objechała potencjalne lokalizacje amerykańskiej armii.

Negatywna reakcja obywateli odzwierciedla obawy o suwerenność kraju, ochronę środowiska archipelagu Galapagos i solidarność z państwami będącymi obiektem agresywnej polityki USA. Oznacza także odrzucenie polityki narzucanej z zewnątrz, przede wszystkim przez Stany Zjednoczone i Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Niewątpliwie wynik referendum oznacza polityczną porażkę prezydenta i podważa jego strategię bezpieczeństwa opartą na współpracy wojskowej z Waszyngtonem.

Większość Ekwadorczyków była także przeciw likwidacji publicznego finansowania partii politycznych oraz zmniejszeniu liczby deputowanych z obecnych 151 do 73.

W wywiadzie dla telewizji Telesur była kandydatka na prezydenta Luisa González stwierdziła, że wynik referendum oznacza także niezgodę społeczeństwa na wielomilionową kampanię medialną, zorganizowanej przez administrację Daniela Noboi. Rząd wydał ponad 7 mln dol. na referendalne reklamy w mediach społecznościowych. Według González ludzie zagłosowali przeciw korupcji i dzieleniu się kontraktami publicznymi „w gronie rodziny i przyjaciół”.

Czwarte i ostatnie pytanie dotyczyło apelu Noboi o zwołanie Zgromadzenia Konstytucyjnego w celu opracowania nowej konstytucji, która miałaby zastąpić tę z 2008 r., sformułowaną za rządów Rafaela Correi. Ponad 60 proc. głosujących odpowiedziało „nie”.

Zamiarem Noboi i jego politycznego zaplecza było napisanie konstytucji na nowo, w duchu neoliberalizmu i z wyraźnym naciskiem na prywatyzację. Do zmiany ustawy zasadniczej prezydent zachęcał wyborców twierdzeniem, że obecna „chroni przestępców”.

Referendum nie było jedynie konsultacją techniczną, ale sporem o ważne zasady konstytucyjne. Od 2008 r. konstytucja Ekwadoru nie dopuszcza baz zagranicznych na terytorium kraju, którego obywatele dobrze pamiętają kolonialną arogancję sojuszników z istniejącej przez dziewięć lat bazy amerykańskiego lotnictwa w mieście Manta. Zapowiadana „współpraca antynarkotykowa” nie zaowocowała też realnymi sukcesami z walce z handlarzami narkotyków.

Referendum spowodowało ponadpartyjną mobilizację, która zjednoczyła organizacje rdzennych mieszkańców, ruchy społeczne, studentów oraz znaczną część opinii publicznej, zarówno w miastach, jak i na wsi.

W Białym Domu i Pentagonie wiadomość o porażce Noboi była szokiem, gdyż stanowi poważny cios dla konkretnej strategii USA. Ekwador został uznany za kluczowego sojusznika w przywracaniu amerykańskiej dominacji wojskowej na Pacyfiku i miał stać się wysuniętą pozycją amerykańską w pobliżu Wenezueli.

Ekwadorskie „nie” pojawia się w czasie szczytowego napięcia między Wenezuelą a Stanami Zjednoczonymi. Waszyngton zwiększa presję dyplomatyczną i militarną na rząd Nicolasa Maduro. Utworzenie amerykańskiej bazy wojskowej kilkaset kilometrów od granicy z Wenezuelą stanowiłoby dla niej poważne zagrożenie militarne.

Decyzja obywateli nabiera więc panamerykańskiego znaczenia. Państwa krytyczne wobec doktryny Monroe: Meksyk, Kolumbia, Nikaragua i – oczywiście – Kuba pogratulowały ruchom obywatelskim, które zwyciężyły w referendum, przedstawiając to wydarzenie jako kolejne potwierdzenie niepodległości Ameryki Łacińskiej.

Retoryka przyjęta przez administrację Trumpa, a wcześniej Bidena, opowieści o walce z narkoterroryzmem i obronie demokracji, nie przekonują już mieszkańców krajów Ameryki Łacińskiej, przez dziesięciolecia znoszących militaryzację, która nie przyniosła ani bezpieczeństwa, ani rozwoju.

Źródeł porażki Noboi zaledwie siedem miesięcy po wygraniu wyborów prezydenckich komentatorzy szukają w jego dekrecie, który zakończył państwowe dopłaty do benzyny. Cena wzrosła o 1 dol. z dnia na dzień, co spotkało się z aplauzem MFW, ale uderzyło w sektor transportowy, odbiło się na rdzennej ludności i studentach, i w efekcie doprowadziło do trwającego 30 dni strajku powszechnego. Podczas protestów doszło do gwałtownych starć między protestującymi a wojskiem, które używało broni. Zwiększyło to niezadowolenie w wielu regionach kraju, które ze szczególną ostrością zaczęły dostrzegać brak spójności między dyskursem rządu a rzeczywistością kraju.

Ekwador od 3–4 lat doświadcza różnych kryzysów. Publiczny system opieki zdrowotnej zmaga się z niedoborami leków i sprzętu, ekstremalnie długim czasem oczekiwania na wizyty lekarskie oraz zgonami pacjentów z powodu braku odpowiedniej opieki, np. dializy. Najbardziej dramatyczny przypadek miał miejsce w Szpitalu Uniwersyteckim w Guayaquil, gdzie zmarło 12 dzieci urodzonych między lipcem i sierpniem tego roku. Tysiące ludzi wyszły na ulice; podczas demonstracji lekarze i pielęgniarki z sektora publicznego mówili, że szpitale „stanowią zagrożenie dla życia”.

Głęboki niepokój w kraju budzi też wzrost przestępczości. W ciągu pierwszych czterech miesięcy 2025 r. liczba zgonów w wyniku przemocy wzrosła o 58 proc. w porównaniu z rokiem 2024. Według Ekwadorskiego Obserwatorium Przestępczości Zorganizowanej wzrost liczby umyślnych zabójstw w pierwszej połowie tego roku wyniósł 47 proc. W rankingu najbardziej niebezpiecznych miast Ameryki Łacińskiej są aż trzy – Guayaquil, Esmeraldas i Machala – leżące w Ekwadorze. Walkę z przestępczością zorganizowaną Daniel Noboa uczynił główny hasłem swojej kampanii, ale w istocie rzeczy nie podjął żadnych działań w tym kierunku.

Sytuacja gospodarcza kraju stale się pogarsza. W ramach kolejnego etapu restrukturyzacji wprowadzanej przez neoliberalny rząd liczba ministerstw została zredukowana z 20 do 14; czego jedynym widocznym efektem było zwolnienie 5 tys. urzędników państwowych. Według danych Ekwadorskiego Instytutu Narodowego w 2024 r. ubóstwo wzrosło z 25,5 proc. w czerwcu do 28,8 proc. w grudniu; ubóstwo skrajne – z 10,6 do 12,7 proc. Szczególnie uderza to w rdzenną ludność, której protesty są brutalnie tłumione. Podczas ostatnich demonstracji doszło do ponad 100 arbitralnych aresztowań i trzech zgonów spowodowanych nadużyciem broni lub gazu łzawiącego przez policję.

Wynik referendum to moralne zwycięstwo Rafaela Correi, za którego prezydentury powstała obecna ustawa zasadnicza. „Po raz pierwszy w historii Ekwadoru konstytucja została dwukrotnie poddana pod głosowanie obywateli” – mówi ojciec postępowej konstytucji z 2008 r.

W szeregach rządu brak refleksji nad wynikami referendum; za to jego przeciwnicy mają nadzieję na zbudowanie solidnej i społecznej opozycji.

ANDRZEJ ULMER

Prezydent Tanzanii wygrała wybory poprzez wykluczenie opozycji

Koronacja zamiast demokracji

Prezydent Tanzanii Samia Suluhu Hassan zaczynała swoją polityczną karierę jako nadzieja demokracji. Ubiegając się o reelekcję zdobyła – według oficjalnych danych – 97,66 proc. głosów. Bliźniaczy wynik osiągnęła jej partia Chama Cha Mapinduzi (CCM).

Jak to się robi?

„Pokojowo i uczciwie”

Do udziału w wyborach nie zostały dopuszczone dwie największe partie opozycyjne – CHADEMA i ACT-Wazalendo (Sojusz na rzecz Zmian i Przejrzystości), a ich przedstawicieli pozbawiono prawa do startu w wyborach prezydenckich. Lidera CHADEMA Tundu Lissu aresztowano pod zarzutem zdrady stanu polegającej na publicznym nawoływania do buntu i zerwania wyborów. Luhaga Mpina z ACT-Wazalendo został oficjalnie zdyskwalifikowany pod pretekstem proceduralnym.

Opozycja nawoływała do bojkotu wyborów. Hassan odpowiadała, że jedyną możliwą formą protestu jest udanie się do punktów wyborczych i udział w głosowaniu. Według oficjalnych danych frekwencja wyniosła blisko 87 proc. – opozycja nie uznaje ich za wiarygodne. Rzecznik partii CHADEMA Gracias Monishi twierdzi, że ludzie byli na ulicach, a nie w lokalach wyborczych. Wybór Suluhu Hassan porównał do koronacji, a nie demokratycznego głosowania.

Począwszy od dnia wyborów przez stolicę i inne miasta przetaczały się demonstracje. Policja użyła broni palnej, wprowadzono godzinę policyjną, zablokowano dostęp do internetu i prasy. Liczba zabitych przez siły bezpieczeństwa szacowana jest od 800 do nawet 3500. Suluhu Hassan potępiła uczestników protestów – twierdząc, że mieli oni zamiar obalić jej rząd, wybory były pokojowe i uczciwe, a „użycie siły proporcjonalne do skali wydarzeń”.

Zagranica też krytykuje

Poważne wątpliwości co do uczciwości wyborów zgłaszają też zagraniczni obserwatorzy i politycy oraz Unia Europejska. Hassan oświadczyła, że choć władze „z dużym szacunkiem” przyjęły ich opinie, to jednak nie poddadzą się zewnętrznemu dyktatowi, uznając go za przejaw neokolonializmu.

Ten ostatni argument trudniej wytoczyć przeciwko Unii Afrykańskiej i Wspólnocie Rozwoju Afryki Południowej (SADC). Obie te organizacje, w oparciu o raporty swoich obserwatorów, zakwestionowały prawidłowość wyborów. SADC mówiła o zastraszaniu opozycji i tłumieniu wolności mediów i stwierdziła wprost, że wyborcy nie mieli możliwości wyrażenia swojej woli. Ale jednocześnie tak przewodniczący UA Mahmud Ali Jussuf, jak i liderzy SADC złożyli pani Hassan gratulacje. Może się to wydawać zaskakujące, jednak trzeba wziąć pod uwagę zróżnicowane podejście ze strony różnych afrykańskich państw. Na uroczystości zaprzysiężenia – która zapewne w obawie przed kolejnymi masowymi demonstracji nie odbyła się tradycyjnie na pełnym ludzi stadionie, ale na terenie bazy wojskowej – gośćmi byli prezydenci Burundi, Somalii, Mozambiku i Zambii oraz wiceprezydent Kenii.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pojednanie z pozycji siły

Po oficjalnym zaprzysiężeniu prezydent Hassan ogłosiła, że pora zapomnieć o protestach, wybory się zakończyły i nadszedł czas, aby wspólnie pracować na rzecz narodu.

– Naszą odpowiedzialnością jest dziś budowa lepszego jutra, niż było wczoraj – perorowała w rozpaczliwej próbie powrotu do wizerunku demokratki. Zapowiedziała, iż w ciągu 100 dni powołana zostanie niezależna komisja śledcza do zbadania przypadków przemocy podczas wyborów oraz – jak to określiła – „przyczyn incydentów”, które są wszak powszechnie znane. Można to odczytać jako ofertę z pozoru pokojową, lecz narzuconą z siły.

W odpowiedzi liderka ACT-Wazalendo Dorothy Semu ogłosiła, że pora siąść do stołu i rozpocząć rozmowy na temat przyszłości kraju. Nie wiadomo jednak, czy jej pojednawcze stanowisko zaowocuje zaproszeniem jej partii do udziału w pracach komisji.

Z kolei CHADEMA odrzuciła ideę powołania komisji, domagając się międzynarodowego niezależnego śledztwa z udziałem ONZ i Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. Partia zapowiedziała też wielką akcję uliczną na święto niepodległości – 9 grudnia. Nic się jednak nie wydarzyło. Dzień wcześniej minister spraw wewnętrznych George Simbachawene ostrzegł bowiem przed udziałem w proteście, który – jego zdaniem – byłby nielegalny, albowiem organizatorzy nie uzyskali wymaganego zezwolenia. Kierownictwo CHADEMA, obawiając się, że rząd użyje broni przeciwko demonstrantom, zrezygnowało z akcji.

Rządy coraz bardziej represyjne

Samia Suluhu Hassan była wiceprezydentem w administracji swojego poprzednika Johna Magufuliego. Awansowała na stanowisko głowy państwa po jego śmierci w 2021. Magufuliemu zarzucano rządy dyktatorskie; ze zmianą wiązano więc nadzieje na demokratyzację. I istotnie, początkowo Hassan zniosła np. zakaz publicznych zgromadzeń organizowanych przez opozycję; później jednak go przywróciła. Poprosiła przebywającego na emigracji przywódcę opozycji Tundu Lissu o powrót do kraju; a następnie doprowadziła do jego uwięzienia.

Równolegle do represji wobec opozycji pani prezydent kontynuowała zapoczątkowane przez poprzednika inicjatywy gospodarcze – zwłaszcza inwestycje w infrastrukturę. Pomimo utrzymującego się ubóstwa gospodarka kraju idzie do przodu. W pierwszym kwartale tego roku odnotowano wzrost gospodarczy na poziomie 5,4 proc. przy stopie inflacji 3,4 proc. i bezrobociu wynoszącym 2,58 proc. Niskie jest także bezrobocie wśród młodzieży – w 2024 r. wynosiło zaledwie 3,35 proc. I pewnie dlatego młodzi w Tanzanii – w odróżnieniu od wielu innych krajów – domagają się nie tyle pracy, co sprawiedliwych wyborów.

Hassan wybrała wariant represyjny. Pewnie miała w pamięci fakt, że w wyborach roku 2015 opozycja dostała 40 proc. głosów, co przełożyło się na 40 proc. mandatów poselskich. Tym razem zadbała zatem, żeby opozycja nie przeszkadzała jej w rządzeniu.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl b688b282cd

Kościelne autorytety sprawdzają, ile na łebku od szpilki jest dzieci z in vitro, osób trans i tych, co nie lubią Karola Wojtyły.

Scholastyka episkopalna

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Biskupi wyrazili „zaniepokojenie próbami zdyskredytowania autorytetu św. Jana Pawła II". Przypomnieli jego nauczanie, jego walkę o wolność, jego wpływ na losy Europy i świata. A skoro tak, to dlaczego autorytetu świętego trzeba jeszcze bronić? Czyż nie po to go kanonizowano, by w aureoli był bezpieczny?

Prawda im przywali

Nie pierwszy to raz Kościół w Polsce wytacza działa na odsiecz legendzie. I nie pierwszy raz robi to w stylu, który bardziej przypomina walkę o ustawę o ochronie dobrego imienia papieża Polaka. A przecież jeżeli Wojtyła to faktycznie postać bez skazy, to – jak niejednokrotnie konstatowali purpuraci – prawda sama się obroni i jeszcze nawet wyzwoli. Jeśli jednak potrzebuje episkopalnych apeli i medialnych kampanii, to znaczy, że w legendzie pojawiły się rysy. I to takie, których nie da się zagipsować cytatem z papieskiego orędzia.

Apel biskupów nie tylko przywołuje dokonania JP2 – mówi o duchowym przewodnictwie, o solidarności, o walce z komunizmem. „Św. Jan Paweł II był wyrazistym głosem ubogich, prześladowanych, dyskryminowanych, skrzywdzonych i zniewolonych" – napisano. „Dzięki jego posłudze liczne narody odzyskały wolność, a wielu ludzi uwierzyło w Chrystusa". Tyle że współczesne media, badacze, dokumentaliści – od Ekke Overbeeka po Tomasza Sekielskiego – pytają nie o wolność narodów, lecz o milczenie wobec krzywdy dzieci.

W sejmie już w 2023 r. uchwalono dokument o „obronie dobrego imienia papieża". Zamiast rzetelnego śledztwa w sprawie zaniechań zaproponowano patriotyczny zestaw odruchów. W dyskusji padały oskarżenia o „nagonkę", o „haniebny atak", o „walkę z Kościołem". Nikt nie zapytał, czy da się być papieżem i nie widzieć, nie widzieć, nie reagować. A właśnie za odwagę i moralną jasność Wojtyła był wynoszony na ołtarze.

W Kościele, który sam z taką gorliwością wzywa do rachunku sumienia, każda krytyka spotyka się z gotowym mechanizmem obronnym. Nie analizy, nie wyjaśnienia, nie dokumenty. Tylko lament, że to „niesprawiedliwe i krzywdzące". Że „trzeba dużo złej woli, by nie zauważyć dobra". Że „cały świat zawdzięcza". A przecież to nie zła wola, lecz zwykła uczciwość każe dziś spojrzeć inaczej – bez czołobitności, za to z pytaniem, czy ta świętość to rzeczywiście coś więcej niż decyzja kilku kardynałów.

Im więcej Kościół mówi o autorytecie papieża, tym mniej pewnie czuje się we własnej skórze. Bo to nie autorytet potrzebuje obrony – to instytucja szuka alibi. Bo coś tu się posypało. Świętość, której trzeba bronić, przestała być świętością.

Niemoralność uświęcona

Kościół twierdzi, że się zmienia. I rzeczywiście – zmienia się. Ale nie dlatego, że przemyślał, zrewidował, pochylił się rzeczywistością. Zmienia się, bo nie ma wyjścia – ekonomicznego.

Dokładnie tak, jest z in vitro. Procedura, która według nauk Kościoła jeszcze niedawno była „ciężkim naruszeniem porządku moralnego", dziś przestaje być przeszkodą do otrzymania chrztu. Dzieci poczęte metodą in vitro – zdaniem Episkopatu – nie mogą być więc dyskryminowane. Chrzest się należy, o ile „są spełnione warunki kanoniczne". A zatem moralna potworność w poniedziałek, a chrzest w niedzielę.

Zespół Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych w swoim stanowisku orzekł, że „każde dziecko poczęte w jakikolwiek sposób jest obdarowane godnością osobową i w całej pełni jest podmiotem prawa naturalnego oraz praw cywilnych i kościelnych". Jeśli więc da się dziecku przypisać jakiegoś biologicznego rodzica, znaleźć chrzestnego i obiecać, że w domu nie będzie tęczowych flag, to nie ma przeszkód. Pokropek będzie udzielony.

Tyle że ten sam dokument mówi również, że sztuczne zapłodnienie to „pogwałcenie godności osoby ludzkiej", bowiem „embriony są zamrażane i selekcjonowane". Że to, co się dzieje w klinikach leczenia niepłodności, w swej istocie nie różni się od aborcji czy zabicia niewinnej osoby ludzkiej.

Kościół więc chce jednocześnie potępiać i chrzcić. Moralnie odcinać się od rodziców, a sakramentalnie ich uspokajać. Bić w stół z ambony, ale polać wodą w kruchcie. I wszystko to robi z myślą, by nie zrazić tych, którzy chcą dla dziecka chrztu, ale niekoniecznie słuchać episkopalnych instrukcji.

Zadziwiająca to elastyczność. Bo oto Kościół, który przez dekady nie pozwalał na godność dzieci „z probówki", teraz ją deklaruje.

Kościół, który in vitro porównywał do eugeniki, teraz otwiera ramiona i księgi chrztów. Ale przy tym wszystkim nie przyznaje, że się mylił. Tylko kombinuje. Jak tu powiedzieć „tak", nie odwołując „nie".

Logika tej nowej otwartości jest prosta. Tam, gdzie da się jeszcze kogoś zatrzymać w parafii – nawet jeśli przyprowadzi dziecko „od embriologa" – tam Kościół postara się nie przeszkadzać. Przypominając, że „szafarze nie mogą odmówić sakramentów osobom, które o nie proszą, są należycie usposobione i prawo nie zakazuje im ich przyjmowania".

I nie chodzi o to, że nagle Kościół zaczął kochać dzieci z in vitro. Chodzi o to, że dzieci z in vitro są dziećmi tych, którzy nadal mogą dawać na tacę.

Rodzice mogą liczyć na obecność księdza przy chrzcielnicy, byle podpisali, że będą wychowywać po katolicku. Byle nie miało dwóch matek. Bo jeśli ma dwie matki, to w księdze chrztów miejsce ojca zostanie puste.

Wszak „Konferencja Episkopatu Polski dodaje, że w księdze chrztów jako rodzice dziecka nie mogą być wpisane dwie kobiety. Jeżeli dawca nasienia nie jest znany, miejsce ojca pozostawia się puste" – czytamy w oświadczeniu. Tak właśnie wygląda pastoralna elastyczność.

Bo skoro nie da się powstrzymać ani zapłodnień, ani ślubów cywilnych, ani związków partnerskich, to chociaż niech ktoś jeszcze przyjdzie po chrzest. Nawet jeśli trzeba się w tym celu nagimnastykować do granic teologicznego wygibasu.

Mniejszość niewidzialna

Kościół, jak wiadomo, lubi mieć wszystko poukładane. Tymczasem świat się plącze. Płeć przestaje być przypisana metryce, a zaczyna – doświadczeniu. Tożsamość bywa niezgodna z genami. I coraz więcej osób ma odwagę powiedzieć: „nie jestem tym, za kogo mnie wzięliście". Kościół na to: „nie jesteś też tym, kim chciałbyś być".

Dlatego Kongregacja Nauki Wiary ogłosiła jasno: osoba transpłciowa, nawet po przejściu pełnej tranzycji, nie może być chrzestnym. Nie może, jeśli istnieje „niebezpieczeństwo zgorszenia, niewłaściwego usankcjonowania lub dezorientacji w sferze edukacyjnej wspólnoty kościelnej". Inaczej mówiąc: nie może, bo ludzie nie zrozumieją. Bo parafianka w drugim rzędzie zmarszczy brwi. Bo dzieci na religii mogłyby zapytać o coś niewygodnego.

Nie chodzi więc o wiarę osoby trans. Nie o jej zdolność do życia w łasce uświęcającej. Chodzi o to, co powie ciotka z Radomia. Kościelna moralność nie opiera się na Ewangelii, tylko na ewentualnym „zgorszeniu".

W tym samym dokumencie czytamy, że Kościół „nie akceptuje odkładania chrztu dziecka aż do czasu, kiedy ono samo określi swoją płeć", nie zgadza się na „nadawanie imienia niezgodnego z płcią genetyczną", ani na „nieokreślenie płci przy wpisie do ksiąg parafialnych". Nawet jeśli dokumenty cywilne mówią co innego, Kościół swoje wie. Nie poprawi aktu. Nie uzna faktu.

A może to nie tyle kwestia przekonań, co kalkulacji? Bo Kościół wie, że osoby transpłciowe i tak do niego nie przyjdą. Nie poproszą o ślub, nie będą się biły się o bycie matką chrzestną. Nie zapełnią ławek ani kolejek do konfesjonałów. Nie są targetem duszpasterskim. A skoro nie dają na tacę, to po co się wysilać?

Stąd przypomnienie, że „celem uniknięcia zgorszenia osoba żyjąca w związku homoseksualnym również nie może być chrzestnym". Czyli logika zgrzebnej ulotki z lat 90.

Problem nie leży w tym, że Kościół nie rozumie osób trans. Problem w tym, że nawet nie próbuje. Bo po co? W tabelkach duszpasterskich ich nie ma. W danych o frekwencji – promile. W datkach – margines.

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Radio Maryja to jest nauka krytycznego myślenia, to jest zadawanie pytań, to jest analiza bieżącej sytuacji, kto mówi prawdę, kto kłamie, co jest dobre dla Polski, co jest złe, kto służy Polsce, a kto jej szkodzi.*** *Może dlatego środowisko Radia Maryja jest tak znienawidzone przez „Koalicję 13 grudnia". Bo nie przyklaskuje im ani radio, ani TV Trwam, ani „Nasz Dziennik", a fundacje tworzą projekty patriotyczne, nie rozmywające naszą tożsamość narodową w jakimś europejskim tyglu, tylko kształtują kręgosłup moralny pokolenia w oparciu o polskość.*

Maciej Małecki (PiS), Radio Maryja, 4 grudnia

■ *Bezprawie „Koalicji 13 grudnia", bezprawie Tuska to jest poligon doświadczalny, jak niszczyć konserwatywne społeczeństwa i wprowadzić globalistyczną ideologię (…).* ***W tej chwili mamy do czynienia z parodią wymiaru sprawiedliwości w Polsce. (…) To próba szkodzenia ludziom, którzy – tak jak ojciec Tadeusz Rydzyk CSsR – budują instytucje, które są nie w smak ludziom, którzy chcą zniszczyć polski naród, Kościół, naszą narodową i chrześcijańską tożsamość. O to w tym wszystkim chodzi.***

Marcin Romanowski (PiS), TV Trwam, 5 grudnia

■ *Trzeba nazywać rzeczy po imieniu.* ***Atak na małżeństwo, rodzinę oraz ludzkie życie od poczęcia do naturalnej śmierci to nie jest – choć trudno sobie wyobrażać coś jeszcze – ostatnie słowo „dyktatury relatywizmu". Na gruncie ideologicznym stajemy się społeczeństwem barbarzyńców.***

ks. Janusz Chyła, X, 25 listopada

Rys. WIDGET

■ *Ideologia LGBT nazywana jest „aksamitnym totalitaryzmem". Celne określenie! Wymyśla się różne prawa i przestępstwa, pierze mózgi edukacją seksualną, by ten totalitaryzm wprowadzać. (…)* ***Wprowadzenie zakazu „mowy nienawiści" też służy tej ideologii. Bo przecież np. plucie na księży katolickich lub podskakiwanie w rytm ośmiu gwiazdek nie będzie przez „żurkowych" sędziów uznawane za zasługującą na karę „mowę nienawiści", lecz za słuszny wyraz społecznego niezadowolenia. Ale już danie świadectwa, że porzuciło się homoseksualne praktyki, może być uznane za przestępstwo, bo jakiś aktywista gejowski stwierdzi, że poczuł się źle z powodu takiego zdeprecjonowania współżycia homoseksualnego.***

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 29 listopada

■ ***Kluczowym elementem ideologii LGBT, który leży u podstaw zakazu terapii konwersyjnej, jest założenie, że orientacja seksualna jest wrodzona i nie może być zmieniona.*** *A jeśli uczeni stwierdzą, że pedofilia jest wrodzona, to co? Nie będzie można proponować terapii, a nawet modlitwy, by człowiek o takich tendencjach nauczył się nad nimi panować?*

dalej Kowalczyk

■ ***Polska jest w ogromnym niebezpieczeństwie, cały świat jest zagrożony, bo odchodzi od Pana Boga, odrzuca swego Stwórcę. (…) Neomarksizm robi wszystko, żeby zniszczyć naszego ducha.*** Już szkoła deprawuje najmłodszych (…). Niszczona jest rodzina. Uzależnia się poszczególne narody. ***Pewien wybitny profesor genetyki powiedział mi, jak jedno potężne państwo zbiera od dłuższego czasu genomy poszczególnych populacji. Może okazać się, że nie będzie potrzebna militarna wojna, żeby podbić jakieś państwo, bo znając genom danej społeczności, wystarczy wyprodukować jakąś bakterię i ci ludzie będą ginąć.***

o. Tadeusz Rydzyk, Naszdziennik.pl, 5 grudnia

■ *Radio Maryja narodziło się w okresie wielkiego przesilenia duchowego – u schyłku systemu komunistycznego, który był nie tylko opresją polityczną, ale przede wszystkim systemem gnostyckim i pseudomesjańskim.* ***W tym sensie powstanie Radia Maryja można odczytywać jako wypełnienie proroctwa o zwycięstwie Niewiasty nad smokiem. Podczas gdy świat interesuje się materializmem, Radio Maryja stało się przestrzenią czasu łaski (…).***

ks. kard. Gerhard Müller, eucharystia, Toruń, 6 grudnia

Wybrał **KLECHA**

eprasa.pl b688b282cd

Katecheza bez mózgu

Episkopat edukuje: jak zrobić bezmyślnego katolika

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W zeszłym tygodniu w budynku, gdzie pulsuje serce i pracuje umysł naszego Kościoła – czyli w betonowej twierdzy Konferencji Episkopatu Polski przy warszawskim Skwerze Wyszyńskiego – odbyła się konferencja dla mediów pod przewodnictwem biskupa Osiała Wojciecha. Zapowiadano ją jako przełom na miarę Lutra. Osiał zaprezentował coś, co dotyczy wszystkich katechizowanych dzieci, mianowicie „Podstawę programową nauczania religii rzymskokatolickiej w Polsce" – nową, a więc z definicji ulepszoną.

Okładka wygląda ładnie, nawet profesjonalnie, grafika taka, że gdyby to była publikacja GUS, nikt by nie zauważył różnicy. Zaraz po opuszczeniu duchownej cytadeli przeczytaliśmy dokument od deski do deski – bo, jak mało komu w tym kraju, za czytanie nam płacą.

Osiał na konferencji grzmiał: „Nowa epoka w katechezie, nowe otwarcie, nowa strategia!"… Miało to być rzekomo „odpowiedzią na wyzwania współczesności". Oczekiwaliśmy więc czegoś na miarę duchowej konstytucji XXI w. Po zamknięciu ostatniej okładki mogłem tylko stwierdzić: jeśli to jest nowe, to ja jestem Matka Teresa w bikini.

Wielbłąd nie przejdzie, mózg też nie

Chciałbym powiedzieć coś dobrego o tym dokumencie, naprawdę. Ale to mniej więcej tak realne, jak próba przeciśnięcia wielbłąda przez ucho igielne. Od pierwszej strony „podstawa programowa" jest jak obietnica premiera na koniec kampanii – dużo zdań, zero treści, a po wszystkim pozostają tylko pytania: to już?! To wszystko?!

W praktyce dostajemy broszurkę instruktażową dla katechetów, którzy nie wiedzą, czego uczyć, ale wiedzą, że mają uczyć – koniecznie rzymskokatolicko, bez zbędnych odchyleń w kierunku rzeczywistości. Główna myśl dokumentu brzmi: lekcja religii nie jest od poznawania religii.

Religia – według episkopatu – to nie religioznawstwo, a to mniej więcej tak, jakby na geografii pokazywać dzieciom wyłącznie mapę Watykanu i udawać, że reszta globu to nieaktualne dane. Albo na biologii postawić przed klasą krowę i oświadczyć, że inne ssaki nie istnieją.

Dokument za to z uporem powtarza, że lekcje religii mają: „wspierać formację parafialną", „wzmacniać tradycje katolickie" i „przygotowywać do sakramentów"…

Tego, że nie uczymy myślenia krytycznego, oczywiście nikt nie napisał wprost. Ale wystarczy przeczytać między wersami, żeby zobaczyć wielki niewidzialny szyld: „Myśl krytycznie? – Broń Boże!" Prezentowanie dzieciom prawdy o tym, co inni – bracia w wierze, półwierze, ćwierćwierze i w ogóle niewierze – myślą o katolicyzmie rzymskim? Taki pomysł nawet nie przeszedł autorom przez myśl.

Młotek do rosołu

Antyklerykałowie od lat okładają Kościół za pijaństwo księży, cudzołóstwo, chciwość, molestowanie i polityczne dymanie narodu na ambonie. Słusznie – ale to tylko tłuszcz na powierzchni zupy, nie sedno problemu. Prawdziwy kłopot jest prosty: Kościół nie rozumie świata, który próbuje pouczać. Nigdy nie rozumiał. Chrześcijaństwo źle tłumaczy rzeczywistość, bo ta rzeczywistość ma własną fizykę, własną biologię i własne konflikty.

Episkopat pisze w „Podstawie programowej", że uczniowie mają „zastosować wiedzę religijną w życiu". Cudownie. Tylko że tej wiedzy nie da się zastosować nigdzie. Nie pomaga zarabiać pieniędzy, nie zatrzyma inflacji, nie naprawi samochodu, nie rozbroi konfliktu, nie wyjaśni zjawiska przyrody, nie zapobiegnie wojnie, nie powstrzyma mordu ani kradzieży, a jej moc kończy się dokładnie tam, gdzie kończy się mszalne „Idźcie w pokoju".

Spróbuj powołać się na Ewangelię przy kredycie hipotecznym – bank uprzejmie pokaże ci drzwi. Spróbuj powstrzymać pandemię hasłem „Bóg czuwa" – wirus się roześmieje. Spróbuj zatrzymać agresora psalmem – zobaczysz, jak szybko psalm zamieni się w requiem. Kościelne prawdy wiary odstają od świata jak młotek od gotowania rosołu. Narzędzie może i solidne, ale jak zaczniesz nim mieszać – rozwalisz garnek, a zupy dalej nie będzie.

Rys. WIDGET

A przecież nastąpiła fundamentalna światowa zmiana, o której na katechezach nikt nie wspomni, bo jakże by to wyglądało na tle plastykowego krucyfiksu z Chin. Chrześcijaństwo przez 2 tys. lat było pasmem nieustannej inwazji.

Nie jest przesadą stwierdzenie, że w imię Chrystusa zginęło więcej ludz niż w imię Hitlera. Ewangelizacja obu Ameryk była jedną z największych katastrof demograficznych w dziejach. Nie była Holokaustem, ale w skutkach liczbowych przebija skalę chorób i kolonialnej przemocy. Dziś trend się odwrócił dzięki globalnej komunikacji. Pięciominutowy filmik na YouTubie potrafi unieszkodliwić kościelną propagandę skuteczniej niż niegdysiejszy rapier konkwistadora. Do Polaków wreszcie dociera, że inne wielkie tradycje duchowe opisują rzeczywistość precyzyjniej, spójniej i z większą pokorą wobec faktów. Bez kajdan, które Kościół nazywa dogmatami, a które są – mówiąc po prostu – dobrze zorganizowaną głupotą.

Kto kogo kontynuuje, a kto kogo poprawia

W „Podstawie programowej" episkopat chętnie wspomina, że chrześcijaństwo wyrasta z korzenia judaizmu. Nie mówi rzeczy najważniejszej: judaizm nie uznaje chrześcijaństwa za swoją kontynuację, tylko za fałsz i teologiczną herezję. Zdaniem żydów chrześcijanie żyją w błędzie. Jezus nie był mesjaszem, Matka Boska nie była dziewicą. Nikt nie zmartwychwstał. To co do faktów.

A co do przekonań powiedzmy głośno: judaizm radzi sobie ze światem, bo go rozumie. Żyd zaczyna od założenia: człowiek ma w sobie potężny popęd do złego. I to zgadza się z całą znaną ludzkości historią, każdym raportem policyjnym i połową serwisów informacyjnych. Chrześcijaństwo przeciwnie. Twierdzi, że człowiek „z natury dąży do dobra". Pogląd tak bardzo rozmijający się z rzeczywistością, że powinien mieć ostrzeżenie, jak papierosy: „Ta doktryna szkodzi twojej percepcji świata". W judaizmie zło jest realne. W chrześcijaństwie – to tylko „brak dobra". Brak dobra? To chyba tylko w episkopacie mogą spojrzeć na ludobójstwo i powiedzieć: „Ups, zabrakło dobra!".

Historia w judaizmie nie ma boskiego sensu „inteligentnego planu" – i to pasuje, bo historia świata przypomina bardziej zepsuty ekspres do kawy. Chrześcijaństwo natomiast widzi w dziejach narzędzie zbawienia, po czym życie co chwilę wbija mu w bok widelec i przypomina: „Halo, tu rzeczywistość". W judaizmie cierpienie niewinnych bywa po prostu cierpieniem. W chrześcijaństwie ma sens. Najlepsze jednak są obietnice. Judaizm prawie ich nie ma: żadnych gwarancji szczęścia, sukcesu, boskiej ochrony. I dlatego działa. Chrześcijaństwo natomiast rozdaje metafizyczne bonusy: zbawienie, opiekę, triumf dobra – wszystko ważne po śmierci, czyli reklamacja niemożliwa. Żydzi liczą czyny. Chrześcijanie – intencje. W judaizmie odpowiadasz za to, co zrobiłeś. W chrześcijaństwie – wystarczy, że miałeś dobre serduszko.

Z YouTube'a dowiadujemy się też o buddyzmie, który daje chrześcijaństwu kopa w krocze już na starcie, bo nie potrzebuje Boga, by tłumaczyć świat, cierpienie i moralność. Pytanie „czy Bóg istnieje" uważa za równie sensowne jak pytanie o PESEL Smoka Wawelskiego. Buddyzm opiera się na realnych uwarunkowaniach psychicznych, nie na bajce o wolnej woli, której nie potwierdza żadna nauka. Co ważniejsze, buddyzm pozwala człowiekowi być szczęśliwym tu, na ziemi, bez czekania na żadne „po śmierci". To dla chrześcijaństwa jest nie do przełknięcia, bo cały system nagród zaczyna się dopiero za grobem. Cierpienie buddysta wyjaśnia psychologią i uczy je redukować, podczas gdy katecheta tłumaczy je „tajemniczym planem Boga". Nic dziwnego, że buddyzm radzi sobie w życiu codziennym, a chrześcijaństwo dopiero w nekrologach.

Konkurencja

Nad Wisłę nadciąga też hinduizm i masakruje chrześcijańskie przekonania kopniakiem z pół obrotu. Tu wizja świata jest tak szeroka, że dogmaty z Katechizmu wyglądają przy niej jak instrukcja obsługi tostera. Chrześcijaństwo upiera się przy jednym życiu i jednym sądzie, podczas gdy hinduizm widzi egzystencję jako ciągłą wędrówkę świadomości – a to paradoksalnie lepiej tłumaczy różnice szczęścia, talentów i tragedii niż cała chrześcijańska teodycea.

Zamiast jednego Boga, który musi pasować do wszystkich, hinduizm dopuszcza niezliczone manifestacje boskości, czyli coś, co faktycznie odpowiada wielości ludzkich doświadczeń. W hinduizmie prawo moralne – dharma – nie jest zbiorem zakazów wyrwanych z krajobrazu sprzed trzech tysięcy lat, lecz dynamiczną zasadą dostosowaną do wieku, sytuacji, roli społecznej, etapu życia i realnych konsekwencji działań.

Dharma nie udaje, że świat jest prosty, tylko dlatego, że tak wygodnie brzmi w kazaniu. Naprzeciw tego stoi chrześcijańska mechanika moralna: „zbawienie albo potępienie", binarna jak gra komputerowa z jedną mapą i jednym przeciwnikiem. Prosta, toporna i dramatycznie niepasująca do świata, w którym każdy człowiek żyje na innym poziomie trudności.

No i mamy islam – najbardziej znienawidzoną religię w pakiecie chrześcijańskich lęków. Wiadomo: World Trade Center, Londyn 7/7, „Charlie Hebdo", Al-Kaida – materiał, który wyjaśnia, skąd bierze się ta nienawiść. Ale chrześcijańska niechęć ma jeszcze jedno, o wiele bardziej wstydliwe źródło: muzułmanie wjeżdżają do naszej kultury z czymś absolutnie nie do zniesienia dla porządnego, niedzielnego katolika z Polski. Żelazną, doktrynalną trzeźwością.

Wyobraźmy sobie, co by się stało z Kościołem, gdyby ta opcja wygrała. Dwa miliardy ludzi żyją bez wódki, bez piwa, bez codziennego pielgrzymowania do sklepu z alkoholem i – o zgrozo – żyją normalnie: budują państwa, prowadzą firmy, rodzą dzieci, piszą książki. W oczach chrześcijaństwa to dopiero jest herezja: religia, która funkcjonuje bez procentów?! Przy takim porównaniu nawet politeizm wygląda jak drobne nieporozumienie liturgiczne.

Bóg nie karze – robi to rzeczywistość

Trzeba w końcu zacząć mówić chrześcijańskim dzieciom prawdę: świat nie kręci się wokół was, a wasza religijna pewność siebie nie wynika z mądrości, lecz z jej braku. W oczach wielkich tradycji duchowych wyglądacie momentami jak szczenięta we mgle. Dość śmieszni. Kościół od 2 tys. lat sprzedaje wam podrobiony towar, wciska metafizyczny bubel.

Panie Biskupie Osiał! Prezentując nową „instrukcję programową nauczania religii", doskonale wiedząc o jej miałkości, wtórności i teologicznym ubóstwie, popełnia Pan wykroczenia nie tylko wobec zdrowego rozsądku, lecz także wobec trzech wielkich tradycji duchowych świata. Każda nazwałaby Pański czyn inaczej, ale wspólny mianownik jest jeden: zbrodnia przeciwko prawdzie.

Rabin oskarżyłby Pana o Hillul Ha-Szem – profanację przez ludzką głupotę. W judaizmie największym grzechem nie jest błąd, lecz robienie z Boga idioty. Przedstawianie programu edukacyjnego, który nie tłumaczy rzeczywistości, nie opiera się na faktach i nie szanuje rozumu, byłoby właśnie takim czynem. A kara jest celna: Bóg was nie musi karać. Karze rzeczywistość. Nie ma szybkiej drogi przebaczenia – trzeba realnych czynów naprawczych i pokory.

Bramin widziałby w Panu uosobienie Adharmy, działania wbrew porządkowi świata. Szerzenie niewiedzy, mylenie przyczyn ze skutkami, karmienie dzieci dogmatami niedającymi się zastosować w życiu – to naruszenie kosmicznej równowagi. Konsekwencja? Karma wraca. Człowiek tworzący głupotę będzie tą głupotą otoczony w następnym wcieleniu. Przy odrobinie ironii losu urodzi się Pan jako katecheta zmuszony czytać własną podstawę programową.

A ajatollahowie postawiliby Panu zarzut Fitna – czynu, który wprowadza chaos w umysłach ludzi, rozbija wspólnotę i oddala od prawdy. A Koran nie owija w bawełnę: „Fitna jest gorsza niż zabójstwo". Kara? Od przymusowych postów i odosobnienia po sankcje znacznie mniej symboliczne.

Niejedyna, nieostateczna, nie zawsze skuteczna

A cóż my, humaniści, możemy Panu powiedzieć? Gdyby miał Pan choć połowę odwagi duchowej średniowiecznych mistyków, którzy nie bali się kwestionować dogmatów, Pańska „podstawa programowa" zaczynałaby się prostym zdaniem: „Wiedza religijna jest próbą zrozumienia świata. Niejedyną. Nieostatnią. Nie zawsze skuteczną". A kończyła słowami: „Drodzy uczniowie, nie wiemy. Szukajmy razem".

ROBERT JARUGA

eprasa.pl b688b282cd

Rocznica w cieniu prokuratury

Rydzyk kocha na zabój

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niezatapialny dyrektor Radia Maryja świętuje, ale tegoroczne świętowanie ma słodko-gorzki smak. Co roku na początku grudnia w Toruniu i Bydgoszczy odbywają się uroczystości upamiętniające powstanie imperium, na które tłumnie przybywają osobiście i korespondencyjnie znakomici przedstawiciele PiS, wiernie trwający przy ojcu dyrektorze, mimo że jego znaczenie słabnie. Jarosław Kaczyński może i nie wie, co to są kryptowaluty, ale wie, że Rydzykowi nie ma się co narażać, bo jego fani, choć mniej liczni, zawsze karnie chodzą na wybory, których wyniki rozbijają się przecież nieraz o kilkaset tysięcy głosów. Ten system walutowy prezes doskonale rozumie.

Potrzeby miłosne

34. rocznica powstania Radia Maryja przebiegała pod znakiem miłości. 6 grudnia Tadeusz Rydzyk w hali Arena wiele mówił o tym uczuciu. Nikt tak nienawistnie nie potrafi mówić o miłości jak on. Katolicka miłość bliźniego niejednego już wykończyła, a toruński redemptorysta jest jej wybitnym nosicielem. Po chrześcijańsku modli się za nieprzyjaciół i prześladowców o to, co dla nich najlepsze, czyli opamiętanie lub przepadnięcie w czeluściach piekielnych. Ojciec dyrektor ma w sobie tyle miłości, że aż kipi. – Zgromadziła nas tutaj miłość. W Polsce też potrzeba miłości. Nie wyśmiewajmy siebie nawzajem, tylko poznawajmy się. Popatrzcie, jak mówią dzisiaj o Kościele. Są niby katoliccy dziennikarze, którzy tak byli katoliccy, a teraz są przeciwko Kościołowi i oni mówią, jaki to jest Kościół. Najpierw trzeba poznać Kościół, bo jak się go pozna, to się go pokocha – mówił Rydzyk. Z własnego doświadczenia wiem, że jest zupełnie odwrotnie, ale u ojca dyrektora wiele rzeczy jest na opak.

Tekstem o „katolickich dziennikarzach" dostało się Terlikowskiemu, za którym dyrektor Radia Maryja nigdy nie przepadał. Nawet w okresie, gdy był katolickim fundamentalistą, redaktor nie podobał się w Toruniu, bo pałał żądzą lustracji duchownych i w mediach Sakiewicza demaskował współpracowników SB wśród duchownych, w tym wielkiego przyjaciela Rydzyka, bepe Stanisława Wielgusa, któremu zrujnował karierę. Zamiast Wielgusa metropolitą warszawskim został Kazimierz Nycz gustujący raczej w politykach Platformy, czego Rydzyk Terlikowskiemu nigdy nie darował. A gdy „niewierny Tomasz" zaczął się interesować także księżmi pedofilami, to już zupełnie popadł w niełaskę do tego stopnia, że ojciec Tadeusz musiał go publicznie ukochać. Tak to już jest z przechrztami, że dawni sprzymierzeńcy ich zwalczają, a nowi mimo wszystko patrzą podejrzliwie.

Pamiętliwa prokuratura

Jeszcze więcej miłości Tadeusz Rydzyk posłał w stronę prokuratury oraz obecnie rządzących. Cieniem na radosnej imprezie kładł się fakt, że zakonnik został wezwany do prokuratury w sprawie Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II. Przesłuchanie wyznaczono na 8 grudnia, czyli dokładnie w rocznicę powstania radia (przypadek?). Rydzyk dostrzegł w tym element szykan jego samego oraz jego dzieł. „8 grudnia powstało Radio Maryja. Od samego początku miało trudności. Żadne władze nas nie rozpieszczały, ale obecna sytuacja zmierza do zamknięcia Muzeum, zmierza bardzo jasno do zamknięcia Radia Maryja i Telewizji Trwam" – napisał w komunikacie na stronie radia.

Rzecz idzie o ponad 200 baniek od Ministerstwa Kultury na powstające i niemogące powstać muzeum.

Prokuratura podejrzewa, że dotacje z ministerstwa dla rydzykowej Fundacji Lux Veritatis były działaniem na szkodę interesu publicznego. Na potwierdzenie tych podejrzeń ma wyniki audytu Krajowej Administracji Skarbowej oraz raport Najwyższej Izby kontroli.

Rydzyk poprosił o przełożenie tego złośliwie wyznaczonego przesłuchania i został wysłuchany. Maglowania się jednak nie boi: – W Rzeszowie będą tak uprzejmi, że będą mnie przesłuchiwać dziesiątego. Tej biednej prokurator to ja współczuję, ale tam w Rzeszowie sami porządni ludzie, tam jest sama miłość – mówił na corocznym zlocie Rodziny Radia Maryja. Przesłuchany na tę samą okoliczność były minister kultury Piotr Gliński spodziewanie uznał, że pieniądze płynęły do Torunia zgodnie z prawem, a przesłuchania to „igrzyska medialne".

Listy obecności

„Prześladowania" Rydzyka były głównym motywem listów i przemówień polityków sprzyjających redemptoryście. Tańców i śpiewów wierchuszki PiS tym razem nie było, bo większość liderów łączyła się z Toruniem tylko duchowo i epistolarnie. Filozoficznie napisał Jarosław Kaczyński: „Chcą sformatować nowego człowieka – jednostkę wyzutą z chrześcijańskiej i narodowej tożsamości, wyjałowioną duchowo, całkowicie zewnątrzsterowną, omamioną wizją lekkiego, łatwego i przyjemnego życia. Stąd biorą się ataki lewicowo-liberalnego establishmentu na wiarę, Kościół, przywiązanie do przeszłości i patriotyzm. Dlatego cierniem w oku jest dla tych nowych barbarzyńców Muzeum »Pamięć i Tożsamość«, Radio Maryja czy Telewizja Trwam" – usłyszeli zebrani w Toruniu list odczytany aksamitnym głosem Mariusza Błaszczaka. Pismo z wygnania nadesłał Ziobro. „Rząd Donalda Tuska uderzył nawet w Fundację »Lux Veritatis«. Ojciec dyrektor, niezłomny kapłan i wielki patriota, od lat buduje dzieło, które jest latarnią prawdy pośród mroku kłamstwa i relatywizmu. Właśnie dlatego władza łamiąca prawo chce je zniszczyć – bo boi się siły wiary" – irytował się zdalnie były minister, za którego czasów takie szykany wobec duchownego byłyby nie do pomyślenia.

Z kolei poseł PiS Arkadiusz Śliwka mówił w okolicznościowej audycji: – To jest model działania pod tytułem: nie możesz zapewnić chleba, to robisz igrzyska. Wiem jednak jedno, to pokazała już historia Radia Maryja i TV Trwam, prawda zawsze się obroni, zwycięży. Obecne chwile nie są przyjemne. To ma jeden cel nękania i wprowadzenia uciążliwości w działaniach. Aparat państwa tak działa obecnie wobec swoich oponentów. Premier robi wszystko, żeby zniszczyć takie środowiska jak Radio Maryja.

Po raz pierwszy w nowej roli pozdrowienia dla ojca Tadeusza wystosował Karol Nawrocki, a odczytał je szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki. „Serdecznie gratuluję ojcu dyrektorowi Tadeuszowi Rydzykowi oraz całej rodzinie zakonnej Zgromadzenia Najświętszego Odkupiciela. Dziękuję za wspaniałą medialną służbę odpowiadającą na oczekiwania rzesz rodaków. Z uznaniem patrzę na konsekwencję i bezkompromisowość w sprawach fundamentalnych, które sprawiły, że Radio Maryja stało się dla rodaków w kraju i na całym świecie wiarygodnym głosicielem prawdy, jedności i wierności" – słodził prezydent, z rozrzewnieniem wspominając czasy, kiedy to jeszcze jako szef IPN współpracował z Rydzykiem przy jego historycznych przedsięwzięciach. Wszyscy oni – Rydzyk, prezydent i pisowcy – z utęsknieniem czekają kolejnych wyborów, aby wreszcie było tak, jak było.

Niemiec pluje w twarz

Ze strony kościelnej nie było zbyt bogato. Najjaśniejszym punktem była obecność kard. Gerharda Müllera, byłego szefa Kongregacji Nauki Wiary. Odkąd w 2017 r. papież Franciszek z dnia na dzień odwołał go z urzędu, chłopina błąka się po świecie w poszukiwaniu dorywczych robót. Jako że jest konserwatystą, odnalazł się w Polsce i jeździ po naszym kraju z wykładami, kazaniami, wywiadami. Często pokazuje się w mediach Rydzyka, gdzie chwali Polskę za to, że jest ostoją wartości, i przestrzega tutejszy Kościół kat. przed drogą niemiecką, czyli odejściem od ortodoksji na rzecz teologicznych nowinek. Müller wygłosił 15-minutowe kazanie po polsku, a ojciec Tadeusz zachwalał, że kardynał, choć Niemiec, jest przejęty losami naszej ojczyzny. W podzięce szwabski purpurat perorował: – Toruńska rozgłośnia stała się głosem, który nie idzie na kompromis z duchem tego świata, ale z mocą i miłością przypomina o Ewangelii, o krzyżu, o nieprzemijających wartościach. To głos, który budzi sumienia, umacnia w wierze i daje nadzieję, że także dziś można żyć po Bożemu.

Gerhard Müller uświetnia wiele uroczystości o charakterze patriotycznym i pisowskim. Udzielił choćby ślubu córce Przemysława Czarnka. Odwiedzał Collegium Humanum. Przed konklawe, które wybrało Leona XIV, mówił już całkiem jak polski ksiądz, komentując zatrzymanie „Salcesona": „To brutalne pogwałcenie prawa. Traktowanie księży, jakby byli torturowani. To przypomina czasy, gdy Jan Paweł II – i wielu innych – w epoce komunistycznej byli śledzeni, zamykani w więzieniach, a kardynał Wyszyński został zesłany na wygnanie. Mam wrażenie, że powoli wracamy do tych czasów".

Oprócz Müllera w Toruniu brylowali w większości biskupi, których czas już minął. Emeryci lub tacy, wobec których toczyły się postępowania w sprawie ukrywania przestępców seksualnych. Nie pojawił się nawet przygotowujący się do emerytury Jędraszewski. Rydzyk wybrał Niemca, a dla dwóch gwiazd tak wielkiego formatu toruńska hala jest za mała. Swoją drogą na uroczystościach obecny był też bepe Wiesław Mering, który niedawno krzyczał w Częstochowie, że „nie będzie Niemiec Polakowi bratem" – musiał czuć spory dyskomfort, słuchając kaleczonej polszczyzny w wykonaniu Müllera.

80-letni Rydzyk po 34 latach prowadzenia swojego medialnego kramu wciąż pełen jest werwy i – jak się okazuje – miłości. Przy życiu trzyma go nadzieja, że za dwa lata karta się odwróci i 40-lecie Radia Maryja będzie już świętem państwowym.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Kłótnia w rodzinie

Biskupi na wojennej ścieżce

W kościelnym światku rzadko padają wzajemne oskarżenia. Księża, choć po cichu podkopują się nawzajem i nieraz pałają do siebie nienawiścią, na zewnątrz wykazują się lojalnością i nie krytykują kolegów. Jeszcze bardziej dyskretni są biskupi, zaawansowani w dworskich intrygach krytych milczeniem i maskowanych oficjalnymi uśmiechami. Coś jednak w polskim Kościele kat. pęka i mur bezwzględnej solidarności się kruszy.

Otwarcie skrytykował swojego kolegę z episkopatu abepe Wacław Depo, metropolita częstochowski. Ten przyjaciel Tadeusza Rydzyka ma radiomaryjne wyobrażenie o powinnościach Kościoła, który ma być otwarty przede wszystkim dla bezkrytycznie wiernych i kroczących drogą wyznaczoną przez katechizm. Jeśli papież Franciszek mówił, że Kościół ma być „szpitalem polowym", a księża mają „pachnieć owcami", to Depo widzi raczej tę instytucję jako pole bitwy, na którym żołnierze pachną prochem i umazani są krwią wroga. Walecznemu hierarsze nie spodobało się, że na leżącą na jego terenie Jasną Górę przybyli ludzie, którzy na co dzień nie słuchają Radia Maryja, a do księży zachowują dystans.

A więc nie tam żadne nadużycia seksualne czy finansowe – te są dla biskupów lekkostrawne. Dopiero wpuszczenie przed oblicze Najświętszej Panienki ludzi luźno związanych z Kościołem uraziło ekscelencję. Nie pedofile, lecz ich ofiary smucą Pana Boga swą obecnością w świątyni, i to TEJ świątyni, sercu polskiego katolicyzmu. Nie księża żerujący na staruszkach, ale rozwodnicy obrażają majestat częstochowskiego sanktuarium.

Wacław Depo jest rozżalony, że „Pielgrzymce z obrzeży Kościoła", bo tak się nazywało to wydarzenie, towarzyszył inny biskup – Artur Ważny z Sosnowca.

Rys. TOMASZ WIATER

Ten, nie dość, że ma same problemy we własnej diecezji, to jeszcze dostał burę od starszego kolegi z Częstochowy.

Na spotkaniu ze słuchaczami Radia Maryja Depo tak się skarżył: – Ja o tym już usłyszałem dobre pół roku wcześniej, ale usłyszałem gdzieś dookoła, ale nie nawet z podmiotu, który tutaj jest podmiotem gospodarczym. O czym? O 4 października 2025 roku. O pielgrzymce wyłączonych, oddalonych, pozbawionych więzi z Kościołem. I ojciec przeor, niech mu Pan Bóg da jak najwięcej łaski, zaprosił ich: „Nawet po nowych wyborach macie tutaj zawsze prawo, nawet jeśli mnie tutaj nie będzie. Jest pasterz w tym Kościele, odpowiedzialny za nauczanie i za sprawowanie kultu i sakramentów świętych? Do tej pory nikt mnie nie przeprosił, łącznie z biskupem Arturem, który poprowadził tę pielgrzymkę odłączonych. I oni o tym mówili, o swoich krzywdach, o skandalach też, tak. I to mieli za cel przynieść do Matki Bożej? Żeby ich pokazano jako skrzywdzonych przez Kościół? No właśnie".

Ta wypowiedź to jedna z niewielu możliwości wejrzenia w umysł przeciętnego polskiego biskupa. Rzadko wyrażają swoje myśli tak wprost, nie oblekając ich w okrągłe słowa wygłaszane na kazaniach. Arcybiskup oburzony jest podwójnie: że wpuszczono na Jasną Górę bezbożników, a jeszcze bardziej o to, że nikt z nim tego nie konsultował. Jasnogórskim klasztorem opiekują się paulini, i teoretycznie to oni decydują, co się w ich lokalu dzieje. Ale książę Depo uważa że na swoim terenie jest wszechwładny i spowiadać mu się muszą nawet inni biskupi.

Metropolicie częstochowskiemu nie przeszkadzają cykliczne pielgrzymki kiboli połączone – jak w tym roku – z wiecem politycznym. To przecież w Częstochowie Karol Nawrocki zapowiadał że będzie walczył z „seksualizacją dzieci" i „lewactwem w szkołach" przy dopingu rozentuzjazmowanych kibiców ryczących „raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!". Tam też częstochowski biskup emeryt porównywał Morawieckiego i pisowskich ministrów do ewangelistów. Wówczas Depo milczał.

W regulaminie Jasnej Góry z 2019 r. jak byk stoi: „Sanktuarium jest otwarte na wielość i różnorodność grup, będących przejawem żywotności Kościoła. Stanowczo zabrania się jednak propagowania na Jasnej Górze niechrześcijańskich postaw i ideologii, a w szczególności podziałów narodowych, wrogości, pogardy, rasizmu, ksenofobii, egoizmów, nacjonalizmów i fundamentalizmów". Najwyraźniej kibole nie łamią tego punktu, ale geje czy rozwodnicy już tak.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl b688b282cd

Absurdów w piłce nożnej nie brakuje. Pomówmy o kilku.

Osobliwości narodowego futbolu

Ileż to razy widzieliśmy dziwaczne sytuacje na piłkarskich boiskach? Oto zawodnik nie trafia z kilku metrów do pustej bramki, inny przewraca się tuż przed wykonaniem rzutu karnego albo sędzia pokazuje żółtą kartkę nie temu futboliście, który zawinił, ale innemu, Bogu ducha winnemu. Internet aż roi się od tego typu obrazków, nie będę więc ich tu opisywać. Zajmiemy się innymi dziwactwami.

Liga Legii

Największym polskim absurdem jest oczywiście Legia Warszawa. Klub, w który jego właściciel Dariusz Mioduski wpompował grube miliony, i który znajduje się na czele listy klubów z największymi przychodami, szoruje po dnie ligowej tabeli; w końcu znalazł się w strefie spadkowej.

„Witamy w pierwszej lidze" – kpią w Grodzisku Mazowieckim. Miejscowa Pogoń jest młodszym partnerem Legii i spisuje się w pierwszej lidze rewelacyjnie. Najlepiej grają w niej wypożyczeni na podstawie umowy partnerskiej czterej młodzieżowcy warszawskiego klubu. Jeśli Pogoń Grodzisk Mazowiecki awansuje do Ekstraklasy, a Legia z niej spadnie – trzeba będzie pytać, kto tu jest młodszym partnerem kogo. Drwiny kibiców Pogoni Grodzisk Mazowiecki są uzasadnione.

Co jest z Legią? Każdy chciałby to wiedzieć. Najłatwiej oczywiście zwalić winę na piłkarzy – i tak się dzieje. Wrogiem numer jeden kibiców Legii stał się duński środkowy napastnik czarnogórskiego pochodzenia Mileta Rajović. Sprowadzono go – jak podała brytyjska prasa – z Watfordu za 3 mln euro. Może w światowej piłce taka suma nie robi wrażenia, ale w Ekstraklasie byłaby rekordowa. Piszę w trybie warunkowym, bo działacze Legii mówią po cichu, że zapłacono 1,5 mln euro, a drugą transzę klub uiści, jeśli zawodnik spełni ściśle określone w kontrakcie oczekiwania. Na razie nie spełnia. Przeciwnie – stał się symbolem bezradności całej drużyny. W pięciu ostatnich meczach oddał 14 strzałów, z czego tylko 3 trafiły w światło bramki.

Rajovicia próbuje bronić słynny „Franek, łowca bramek", czyli Tomasz Frankowski, który podczas swojej długiej i pięknej kariery strzelił 211 bramek dla wielu klubów Europy, a nawet Japonii. Wspominał, że po przejściu z Elche do Wolverhampton wszyscy zaczęli mu liczyć mecze bez strzelonego gola, bo przychodził tam jako niezawodny snajper. Ta sytuacja tak sfrustrowała napastnika, że po sezonie odszedł z klubu, z równym „0" strzelonych bramek na koncie. Nawiasem mówiąc, spośród 11 klubów Frankowskiego Wolverhampton jest jedynym, w którym nie wpisał się on na listę strzelców.

Po ostatnim, przegranym 0:2, meczu z Piastem Gliwice wątpliwy zaszczyt, wiążący się z tytułem wroga nr 1 kibiców Legii, może przejść z Rajovicia na Kacpra Chodynę. Solidny ligowiec z Zagłębia Lubin po przenosinach do Warszawy całkiem się zagubił, nie potrafił strzelić z kilku metrów do bramki, uznany został za najśmieszniejsze ogniwo śmiesznej linii ataku Legii.

Ci, którzy wieszają psy na Rajoviciu i Chodynie, zapominają, że jeden zawodnik ani nie wygra, ani nie przegra meczu. Piłka nożna (czy naprawdę trzeba przypominać tak podstawowe sprawy?) jest grą zespołową. A zespołem są nie tylko piłkarze na boisku, także ci na ławce rezerwowych, trener, sztab szkoleniowy z lekarzem, fizjoterapeutami, dietetykami. W zespole wszystko musi grać i to nie tylko podczas meczu.

Zawodnicy zaklinają się, że stają na głowie, by wygrywać mecze, że starają się walczyć i dla klubu, i o posadę lubianego trenera (jeszcze niedawno kolegi z boiska) Iñakiego Astiza, ale jak nie idzie, to nie idzie.

Diabelski Papszun

Posady Iñakiego Astiza i tak nic nie uratuje. Dariusz Mioduski zapragnął mieć w swoim klubie trenera Marka Papszuna, a sam trener zapowiedział publicznie, że także miałby chrapkę na tę pracę.

Szanuję Marka Papszuna jako trenera i człowieka. Szkolny nauczyciel historii i wychowania fizycznego zaczął karierę trenerską skromnie, od warszawskich i podwarszawskich klubów w Tarchominie, Ząbkach, na Targówku. W 2016 r. po niespodziewanym zatrudnieniu w drugoligowym wówczas Rakowie Częstochowa zaczęło się pasmo jego sukcesów. Po roku był już z Rakowem w I lidze, a dwa lata później w Ekstraklasie. Z Rakowem zdobył tytuł mistrza Polski, wygrał Puchar Polski i Superpuchar Polski. Nic dziwnego, że klub z Częstochowy nie chce puścić Papszuna do Legii. Stawiają twarde warunki, sam Papszun także.

Raków za rozwiązanie kontraktu z Markiem Papszunem życzy sobie 400 tys. euro (liczbę podaję za portalem Sport.pl), ale to nie wszystko. Nie tak dawno w Legii zwolniono kilku pracowników, tłumacząc to posunięcie koniecznością wprowadzenia oszczędności i odchudzenia sztabu szkoleniowego. Papszun przyjdzie do stolicy z własnym 15-osobowym sztabem. W żadnym ekstraklasowym klubie nie ma aż tak rozdętego sztabu szkoleniowego. Za utrzymanie tej grupy (wraz z wybitnym trenerem) Mioduski musiałby wydać niewiarygodną jak na nasze warunki sumę nawet 1,5 mln euro rocznie.

Na razie sprawa tkwi w zawieszeniu. Astiz trenuje piłkarzy, do końca roku Papszun zostaje w Częstochowie, a zawodnicy nie wiedzą, co z nimi będzie dalej. Od młodego zaprzyjaźnionego dziennikarza sportowego dowiedziałem się, że wielu z nich chciałoby, aby Astiz pozostał na posadzie. Mają z nim dobry kontakt, a legendy krążą o wysokich wymaganiach, wręcz torturach, jakie stosuje podczas treningów Marek Papszun. Ponoć niektórzy piłkarze bardzo po cichu nazywają go Diabłem.

Jeśli myślicie, że to jedyne absurdy związane z Legią – jesteście w błędzie. Musielibyście mieszkać we Francji, aby się o tym przekonać. Żadna francuska telewizja nie pokaże pucharowego meczu Legii (inne polskie drużyny pokazują), nawet gdyby przyszło jej grać z miejscowymi. Chodzi o logo firmy Plus500 na koszulce warszawskiego klubu. Plus500 to spółka tradingowa, która oferuje m.in. kontrakty na różnice kursowe. Takie produkty finansowe zostały we Francji zabronione i za ich reklamowanie grożą bardzo wysokie kary. Reklama Plus500 zniknęła ze strojów Atletico Madryt, Atalanty Bergamo, innych włoskich klubów, ostała się tylko na koszulkach Young Boys Berno i Legii.

FIFA w służbie pokoju

Z tymi reklamami to w ogóle jest niezły cyrk. W Polsce pojawiają się w telewizji reklamy na koszulkach zagranicznych zespołów z nazwami niezarejestrowanych u nas spółek bukmacherskich. Formalnie reklamować ich nie wolno, ale Ministerstwo Finansów uznało, że w tym przypadku nie chodzi o reklamę, ale o informację o sponsorze. Czy to nie absurd? Przecież wg takiego podejścia do tematu można informować o sponsorze, którym byłaby Żubrówka czy inny mocny napitek alkoholowy. Nie byłaby to reklama wódki, ale informacja o sponsorze.

Do absurdalnej i wysoce niesmacznej sytuacji doszło podczas niedawnego spotkania piłkarskiej Ekstraklasy między Wisłą Płock a Lechem Poznań. Przed meczem minutą ciszy uczczono pamięć byłego piłkarza klubu gospodarzy Tadeusza Świątka, a na tablicy pokazano podobiznę zmarłego. Problem w tym, że Tadeusz Świątek nie tylko żyje, ale w dodatku zasiadał na trybunie stadionu.

Okazało się, że ta krótka żałobna uroczystość poświęcona miała być uczczeniu zmarłego krótko przed meczem Tadeusza Sznajdera – także byłego zawodnika płockiego klubu, a później trenera i działacza. Tadeusz Świątek ma 64 lata, Tadeusz Sznajder zmarł w wieku 87 lat.

Władze Wisły Płock przeprosiły za incydent i zapowiedziały jego wyjaśnienie. Jakie by ono nie było – fatalnie wyszło.

Na koniec zostawiłem sobie największy piłkarski absurd w historii. Przed ceremonią losowania grup przyszłorocznych piłkarskich mistrzostw świata w USA, Meksyku i Kanadzie szef światowej federacji Gianni Infantino wręczył Pokojową Nagrodę FIFA prezydentowi Donaldowi Trumpowi.

Całą uroczystość określono w światowych mediach jako największą futbolową żenadę w historii. Nasza telewizja transmitowała ją w całości, mogliśmy więc zobaczyć, że najjaśniejszą gwiazdą nie byli występujący w tym długaśnym spektaklu Andrea Bocelli czy Robbie Williams, ale prezydent USA, któremu w pas kłaniał się prezydent FIFA Gianni Infantino. Momentami przypominać mogły się sceny z kultowego filmu Stanisława Barei „Miś" i hołdy składane przez trenera II klasy Jarząbka prezesowi klubu sportowego Tęcza Ryszardowi Ochódzkiemu. Chętnie i ja pośmiałbym się w tym miejscu z Czytelnikami naszego dziennika cotygodniowego, gdyby nie było to po prostu obrzydliwe.

Czym jest Pokojowa Nagroda FIFA – nie bardzo wiadomo. Przyznana została po raz pierwszy. Infantino z nikim nie konsultował zasad jej przyznania, do ostatniej chwili trzymał w tajemnicy osobę, która zostanie wyróżniona. I znów – pusty śmiech. Każdy wiedział, kto ją dostanie. Wiadomo, że marzeniem Donalda Trumpa jest otrzymanie Pokojowej Nagrody Nobla, ale skoro przyznano ją Wenezuelce Marii Corinie Machado, trzeba było jakoś pocieszyć lidera mocarstwa o mentalności rozwydrzonego chłopca z przerośniętym ego. Infantino znalazł sposób.

Całość uroczystości zwieńczyła pieśń zespołu Village People „Y.M.C.A" – hymn organizacji, której nazwę przekłada się jako Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej, a która stanowiła motyw przewodni podczas przedwyborczych wieców Donalda Trumpa. Nawiasem mówiąc, za swój hymn uznaje ją także część środowisk LGBTQ.

Do kijów, panowie!

Wielka Pokojowa Nagroda FIFA zajmie honorowe miejsce wśród licznych trofeów sportowych prezydenta USA. Najwięcej jest tam pucharów wywalczonych w turniejach golfowych.

Dziennikarze sportowi już dawno odkryli, że sporo golfowych trofeów lokatora Białego Domu przyznano za zwycięstwa w zawodach, w których był tylko jeden uczestnik – Donald Trump. Zawody odbywały się na jego polu golfowym w Mar-a-Lago.

Nie jest to zresztą jedyny taki obiekt sportowy należący do rodzinnej firmy Trump Organization; zarządza ona 17 polami golfowymi.

Szykuje się kolejna wielka inwestycja. Rodzinna firma Donalda Trumpa robi biznes z komunistycznymi władzami Wietnamu. Luksusowy ośrodek golfowy z hotelem i polem na 18 dołków ma powstać niedaleko Hanoi i kosztować będzie 1,5 mld dol. Prezydent Wietnamu i syn prezydenta USA – Eric – położyli już kamień węgielny pod budowę.

Zanim ta jednak ruszy, ziemię trzeba odebrać miejscowym rolnikom. Dostaną mizerne odszkodowania, ale dyskusji ani targów nie przewidziano. Jak pisze Grzegorz Tomczyk w portalu Farmer.pl, ziemia w Wietnamie należy do państwa, a rolnicy są tylko jej dzierżawcami. Być może po ukończeniu inwestycji kolekcja golfowych pucharów prezydenta USA wzbogaci się o kolejny, zdobyty w Hanoi, o ile dojdzie do międzypaństwowej wizyty.

Golf stał się już teraz ważnym elementem polityki zagranicznej największego mocarstwa na świecie. Podczas wizyty w Wielkiej Brytanii prezydent Trump odwiedził dwa swoje ośrodki golfowe w Szkocji: Trump Turnberry oraz Trump International GolfLinks w Aberdeenshire, gdzie otworzył nowe pole, nazwane imieniem swojej matki.

Prezydent Finlandii Alexander Stubb, golfista amator, systematycznie bierze lekcje, znacznie poprawił swoją grę, co znalazło uznanie w oczach prezydenta USA. Stali się przyjaciółmi, często rozmawiają (zapewne dużo o golfie), a maleńka Finlandia powoli wypycha Polskę z roli głównego rzecznika Ukrainy w Europie.

Nie ma rady, panie Nawrocki, trzeba skończyć z boksowaniem i brać się – dla dobra ojczyzny – za wymachiwanie kijem golfowym.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

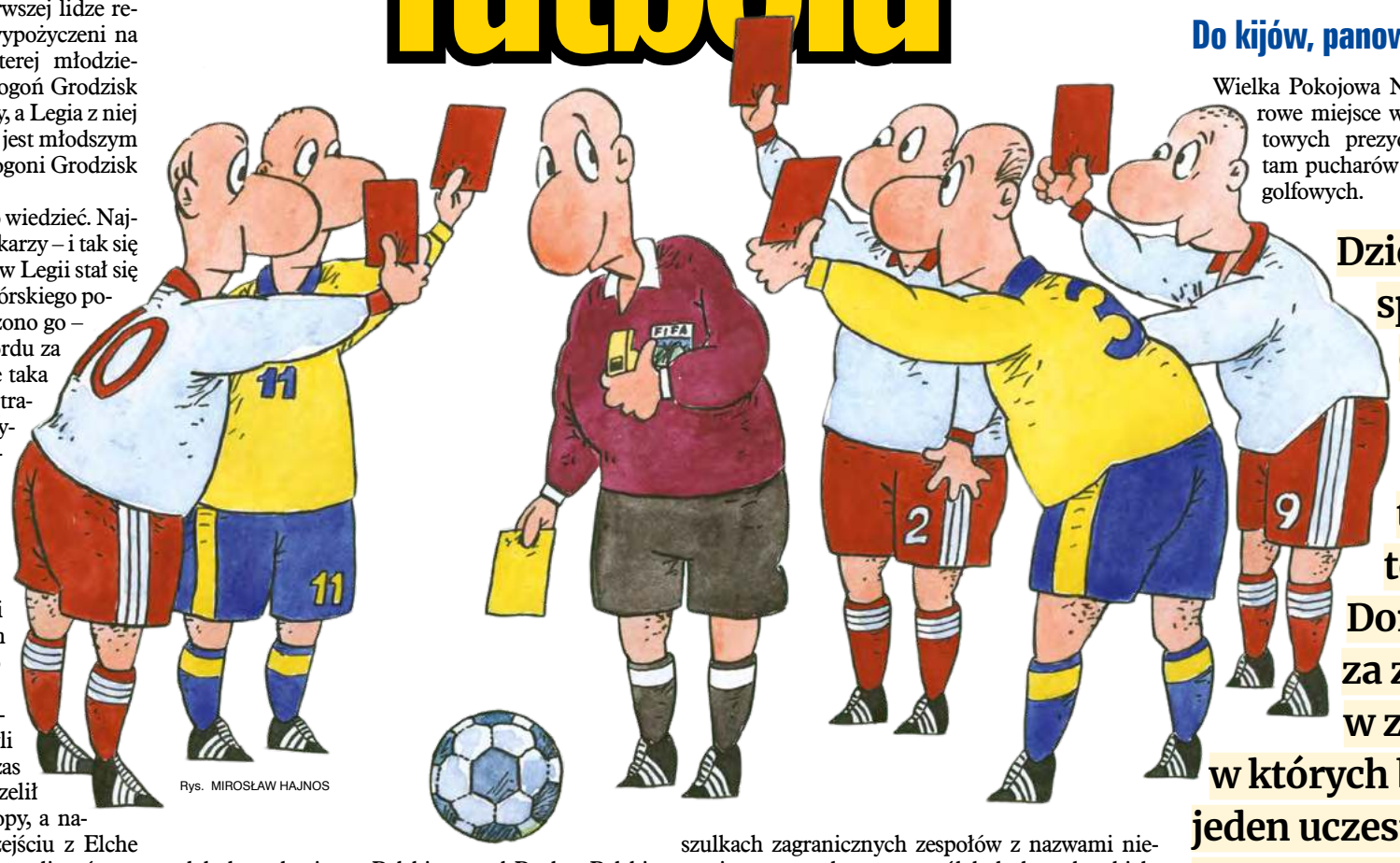

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 10.12.2025 r.

eprasa.pl b688b282cd

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Ho, ho, ho, ho!

* Europosłowi Braunowi proces mikołajkowy przyniósł w prezencie szczęść Bóg, ewentualnie święty Mikołaj.

* Marszałkowi Czarzastemu posadę podarował Dziadek Mróz, który namówił Hołownię do tego, żeby zgodził się na rotacyjność na stanowisku marszałka sejmu.

* Wicepremierowi Gawkowskiemu Dziadek Mróz dał trochę bezpieczeństwa, a trochę cyber.

* Posłowi Giertychowi prezenty dał Mraz, który wcale nie jest dziadkiem, tylko tak wygląda.

* Posłowi Hołowni święty Mikołaj, patron uchodźców, nie dał żadnego prezentu, a zabrał ich tyle, że nikt ich nie policzy.

* Prezes Kaczyński dostał rózgę.

* Wicepremierowi Kosiniakowi-Kamyszowi Mikołaj obiecał dać tyle setek czołgów, ile procent poparcia odebrał jego partii.

* Posłowi Kowalskiemu przydałoby się trochę tego, po co się zwykle chodzi do głowy.

* Prezes Mentzen wszystko dostał w kryptowalutach.

* Prezydent Nawrocki w prezencie przyjął wiele dobrych rad i takich sobie ustaw, a oddał mnóstwo wrednych wet.

* Premier Orbán sam sobie kupi wszystko, czego chce, ale dopiero w kwietniu i w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

* Ministerka Pełczyńska-Nałęcz nie dostała od aniołka tego, na co czeka, i chyba już nie dostanie.

* Minister Przydacz miał dostać to, czego brakuje posłowi Kowalskiemu, ale nie dostał, bo był niegrzeczny.

* Prezydent Putin dostał od Dziadka Mroza kawał Ukrainy, lecz nie dostał pomysłu na to, co z tym kawałem zrobić przed śmiercią.

* Redaktor Sakiewicz w prezencie bierze wszystko, byle dużo, byle grubo, byle tłusto, byle dostatnio, byle obficie.

* Wicepremierowi Sikorskiemu gwiazdor podłożył Elona Muska w roli rozmówcy na Iksie.

* Prezydentowi Trumpowi diabli nadali Ukrainę, Zełenskiego i cały ten wschodnioeuropejski bajzel.

* Premierowi Tuskowi aniołek, gwiazdor, Mikołaj i Mróz dali tyle, że teraz nic tylko tego wszystkiego upilnować.

* Prezydent Zełenski dostał tyle, co Jermak napłakał.

* Posłowi Ziobrze sprezentują niespodziankę współwięźniowie, którzy już nie mogą się doczekać, jak ją zapakują.

Ho, ho, ho, ho!

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zaczyna maraton wydawniczy, bo na horyzoncie majaczy już numer świąteczny. **JOANNA SENYSZYN** szlifuje autobiografię.

Wołk-Łaniewska: – Czy wolisz Brauna od Tuska?

Senyszyn: – A co to za dziwaczne zestawienie? Dlaczego w ogóle miałabym wybierać między politykami, z których żaden nie jest z mojej bajki? Nie wolę też od nikogo Nawrockiego, Mentzena, Bosaka, Hołowni, Kosiniaka, Kamysza ani niewymownego…

– Widzę, że ciągle bawisz w Brukseli?

– Owszem, a skąd wiesz?

– Bo gdybyś była w Polsce, to byś wiedziała, że to jest najgorętszy cytat tygodnia. Piasecki zapytał Sasina w TVN24, czy woli Grzegorza Brauna od Donalda Tuska, a Sasin mu na to: „Oczywiście". Co wywołało pełne uniesienia oburzenie po tzw. stronie demokratycznej.

– Dziwisz się?

– Tak zwanej stronie demokratycznej nie. Ale ja w zasadzie jestem w tej sprawie z Sasinem.

– Przeginasz.

– Sama mówiłaś wielokrotnie, że w ocenach różnych zjawisk kierujesz się tym, czy są korzystne, czy szkodliwe z punktu widzenia społeczeństwa. I ja uważam, że Tusk jest dużo bardziej szkodliwy. Braun pierdoli bez sensu i może przynosi nam nieco wstydu, a Tusk morduje służbę zdrowia, żeby być prymusem w wyścigu zbrojeń. To jest pytanie z gatunku: czy wolisz mieć białaczkę, czy grzybicę paznokci. Jak paskudna nie byłaby grzybica – to jednak nikt od niej nie umiera. W odróżnieniu od cięć w służbie zdrowia.

– Akurat Braun, gdyby tylko mógł, też by nas chętniej zbroił, niż leczył, więc trafiłaś kulą w płot.

– Ale nie może! Na tym właśnie polega jego lepszość od Tuska: że gówno może, więc niewiele może zepsuć. Jak tylko Braun zostanie premierem, a Tusk szefem peryferyjnej partii opozycyjnej, zaraz zacznę woleć Tuska. Zmieniając temat na przyjemniejszy: co tam w Brukseli?

– Szopka.

– Ładna?

– Nie wiem, bo choć byłam z przyjaciółmi na Grand Place, nie zauważyliśmy…

– Jak to: nie zauważyliście?

– Normalnie. Poszliśmy tradycyjnie na Grand Place, obeszliśmy dookoła, ale szopka za 65 tys. euro nam jakoś umknęła, bo jest umieszczona w białym namiocie. Takim, jaki się rozstawia w knajpianych ogródkach i na jarmarkach, więc myśleliśmy, że to jakieś handlowe stoisko.

– No jakże to? Przecież to strasznie słynna szopka!

– No dobra, wiedziałam, że tak zareagujesz, więc żebyś nie marudziła, poszliśmy tam jeszcze raz, choć padało i zrobiliśmy specjalnie dla ciebie zdjęcie świętej rodziny.

– Dziękuję!

– Ale był to czas stracony. Widok braku twarzy nas nie poruszył, a tym bardziej nie obraził naszych uczuć religijnych, bo takowych nie mamy. Nie mieliśmy więc chęci unicestwienia bezbożnej, urągającej tradycji wizji betlejemskiego żłóbka. W odróżnieniu od nieznanego sprawcy, który ukradł główkę dzieciątku Jezus.

– Albowiem „kiedy sacrum zostaje zredukowane do bezsensownego obiektu kulturowego, staje się zbędne, podatne na manipulację, a nawet wyśmiewane. Tradycyjna szopka bożonarodzeniowa nigdy nie spotkałaby się z takim nieposzanowaniem, albowiem choć niektórym może zawadzać, przekazuje rozpoznawalną prawdę i tożsamość"…

– Ty się dobrze czujesz?

– Znakomicie. To z mojego ulubionego katoportalu „Infovaticana". To taka hiszpańska tuba integrystów, odwołująca się do „niepodważalnych zasad wymienionych przez Benedykta XVI", ze szczególnym uwzględnieniem „obrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci" oraz „naturalnej rodziny". Oni się święcie oburzyli na tę szopkę, a znacznie mniej na tego, kto Jezuskowi główkę podpierdolił…

– Co sugeruje, że to mógł być ktoś od nich. W ramach świętego oburzenia.

– Możesz mieć rację, zważywszy że mi się ta szopka podoba. Widziałam w necie i uważam, że ma głęboki przekaz pacyfistyczny…

– Takiej interpretacji jeszcze nie słyszałam, ale cenię twoje niebanalne podejście do sztuki i życia. Katoprawica na całym świecie od lat mówi i pisze o wszelkich nowatorskich projektach quasi-religijnych, że to obraza uczuć religijnych, a także kapitulacja przed mniejszością muzułmańską, ale o pacyfizmie nikt nie wspomniał. Pewnie pamiętasz, jak jakiś nawiedzony prawicowy polityk zniszczył w Zachęcie rzeźbę JP2 przygniecionego głazem.

– Meteorytem. Rzeźba Maurizia Cattelana nazywała się „La Nona Ora", a kopytko oderwał papieżowi poseł Tomczak, próbując uwolnić go spod ciężaru meteorytu, podczas gdy Nowina-Konopczyna zagadywała ochronę…

– A skąd ty to tak dokładnie pamiętasz?

– Bo to było w grudniu 2000 r., chwilę po tym, jak przyszłam do „NIE" i wszyscy strasznie się radowaliśmy performansem posła Tomczaka.

– Który na szczęście został potem skazany przez sąd na zapłacenie grubej kasy za renowację, co nieco ostudziło zapały innych delikatnej natury katolików.

– Jesteś tego pewna? Bo moim zdaniem nie został. Dostał jakiś wyrok warunkowy, 6 tys. zł grzywny, o ile pamiętam, 16 lat po fakcie i za chwilę Duda go ułaskawił…

– To muszę ci powiedzieć, że wolę swoją wersję. Z wychowawczym morałem. Wróćmy zatem do twojej koncepcji pacyfistycznej szopki.

– Tłumaczę. Otóż całe figury zrobione są ze szmat z sensem: w sensie, że mają suknie, turbany, chałaty etc. Ubranka generalnie. Tylko ryjki świętych są niby bez sensu, bo we wzorek wojskowy typu moro. I ja uważam – i będę się tego trzymać – że to jest protest artystki przeciwko militaryzacji Europy.

– Ja tam widziałam nie tyle moro, co bliżej niezidentyfikowany wzorek typu patchwork, co mogłoby sugerować skomplikowane więzy rodzinne Maryi, Józefa i Jezusa…

– O Duchu Świętym nie zapominaj, Duch Święty w tym patchworku mieszał… Mem na ten temat mnie zachwycił. Jezus: Jestem synem Boga, ale również jestem Bogiem, jesteśmy tym samym, ale równocześnie innymi osobami i jest jeszcze Duch, który jest mną i Bogiem naraz, ale także kim innym. Katolicy: Jasne. Transkobieta: Po narodzeniu przypisano mi płeć męską, ale jestem kobietą. Katolicy: Niemożliwe!

– Naprawdę to jest dla nich niepojęte, ale mają kłopoty z precyzyjnym wyrażaniem myśli i stanów emocjonalnych, bo nie dla każdego polszczyzna to ojczyzna. A ponieważ zaraz wracamy, powiedz, czy wolisz, żeby ci przywieźć belgijskie piwo, czy czekoladki, bo to zawsze wielki dylemat.

– Piwo. Koniecznie czerwone!

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl b688b282cd